

Kraj zagrożony przez potężnych sąsiadów, rozdzierany wal-kami dzielnicowymi i potężnych rodów został nagle przez panów krakowskich zamieniony w mo-carstwo, które w pewnym mo-mencie zaważyło na losach Europy. Zostało to spowodowane tym, że ci ludzie mieli wizję, czym może być Polska. Wizję niezmiernie ryzykowną, ale opartą na re-aliach. Dzisiaj gdy myślę o obecnej rzeczywistości, o kraju rządzonych przez małych, mia-łych ludzi prowadzących Polskę od katastrofy do katastrofy, a jed-nocześnie o ogromnej koniunkturze, jaka się przed nami otwiera i jakiej nie mieliśmy od kilkuset lat - to wracam myślami do panów krakowskich.

Jerzy GIEDROYC

ROZPŁO-
CHOWSKI:Byłem mężem
zaufania
s. 6-8PISMA
J. Gajewski

PRZYSTAWA:

Moje
obserwatorium
wyborcze
s.13-15

DADAK:

Uwagi o
polskiej
gospodarce
s.16-19

SOLIDARNOSC WALCZACA

MIESIĘCZNIK NR 1 (287) ROK XI STYCZEŃ 1992 r., cena 2800 zł

JAK ZACHOWAC JEDNOŚĆ IMPERIUM

Teraz, kiedy zgasty reflektory, kiedy lu-dzie znowu żyją w strachu i niepewności, wróćmy raz jeszcze do tego podstawowego pytania, wokół którego obraca się polityka sowiecka.

Istnienie imperium zasadzało się na soc-jalistycznym legitymizmie. W fikcji ideolo-gicznej nie było Imperium, gdyż proletariacki internacjonalizm, socjalizm i „przyjaźń między narodami” rozwiązały kwestię narodową. A ponieważ naród rosyjski, dominujący w Imperium, sam był uciskany przez aparat partyjno-państwowy, nie miał nawet świadomości tego, że ucis-kał innych. Trwało to aż do 1991 roku. Dziś jednak ideologia umarła nie tylko w myś-leniu, ale i w języku i od niedawna została oficjalnie pogrzebana.

Jak więc uzasadnić dalsze istnienie im-perium? Jedynym jego spoiwem jest ro-syjski nacjonalizm. Wiele Rosjan przekłada bowiem dominację nad wolność, dlatego że dominacja jest potężną namietnością, że korzyści, jakie przynosi, są czymś rzeczy-wistym i namacalnym, podczas gdy wol-ność jest ideałem, nieczęsto spotykanym w historii Rosji i równie niematerialnym jak duch poszukujący ciała, w którym mógłby zamieszkać. Dwie władze walczące o su-premację - władza „centralna”, reprezen-towana przez Gorbaczowa, i władza rosyjska, reprezentowana przez Jelcy-na - co do jednego są zgodni: imperium jest jedno i niepodzielne.

Jednak jako uzasadnienie racji bytu im-perium nacjonalizm rosyjski nie może się równać z socjalistyczną fikcją. W imię czego bowiem nacjonalizm rosyjski miałby być czymś lepszym niż nacjonalizm ukraiński, gruziński czy uzbecki? Występując z pod-niesioną przyłbicą, nie tylko podsyca na-stroje nacjonalistycznie zdominowanych narodów, ale nie może być zaakceptowany jako coś naturalnego przez Zachód, od któ-rego Rosja i całe jej imperium są ściśle

uzależnione. Musi się więc maskować. Czy-ni to obecnie w bardzo przebiegły sposób. Nacjonalizm rosyjski ukrywa się mianowi-cie pod maską racjonalizmu ekonomicz-nego. Podczas gdy nie istnieje już gospodarka, podkreśla rzekomo komple-mentarny charakter upraw zboża na Uk-rainie i bawelny w Azji Środkowej. Podczas gdy nie ma już pieniądza (inflacja wynosi 3% tygodniowo!), zachwala zalety wspólnej waluty. Podczas gdy nie ma rynku (poza czarnym rynkiem), dywaguje na temat „wspólnego rynku”. Rzeczywiście Rosja dzięki swemu centralnemu położeniu może zmusić republiki do pozostania w imper-ium, kusząc je utworzeniem w przyszłości czegoś w rodzaju Europejskiego Wspólnego Rynku, do czego brak w tej chwili jakich-kolwiek przesłanek.

W praktyce nacjonalizm rosyjski postu-guje się komunistycznymi satrapami sto-jącymi na czele republik, jak Krawczuk na Ukrainie, Nazarbajew, Karimow czy Nijazow w Azji Środkowej, rzekomo nawróconymi na niepodległościowy patriotyzm, którzy na wyścigi podpisują układ związkowy. Na razie Rosjanie są nadal okupantami. Dali do zrozumienia Bałtom, których niepodle-głość przecież znali, że nie ma mowy o wycofaniu ich wojsk przed upływem kilku lat. Pretekst? Zawsze ten sam: w Rosji nie ma mieszkań dla tych wszystkich żołnierzy. W wypadku armii, która oficjalnie zwolniła 500 tysięcy ludzi, jest to wręcz nieprzy-zwoite kłamstwo.

Mimo to Zachód gładko je przetłknął. Ję-zyk ekonomicznej racjonalności jest mu z natury rzeczy bliski. Idea wspólnego rynku, kiedy organizuje się taki rynek w Europie Zachodniej i w Ameryce Północnej, jest szczególnie skuteczną przynętą. Dodajmy, że ci, co handlują w ZSRS, wolą mieć do czynienia z „centrum” niż z bliżej im nie-znanymi chwiejnymi władzami republik.

W okresie upadku imperium carskiego w 1919 roku Francja forsowała szczególnie nieszczęśliwą politykę. Przywiązana z racji tradycyjnego sojuszu francusko-rosyjskie-go do idei Rosji jednej i niepodzielnej popierała imperialistycznych białogwardyj-skich generałów. Denikin, Kołczak, Jude-nicz, operujący na peryferiach imperium, masowo rozstrzelali kadry młodych na-rodów dążących do uzyskania niepodległo-ści. Szybko zostali zniechęceni. Wystarczyło, żeby bolszewicy kłamliwie obiecali tym narodom samodzielnosć, a dopomogli one w likwidacji białych armii, po czym bolszewicy odzyskali całe niemal carskie dziedzictwo. Znacznie rozsądniej byłoby dopomóc młodym republikom i skonsolidować je, co uczyniła w ostatniej chwili Anglia, ratując w ten sposób (pro-wizorycznie) kraje bałtyckie.

Francja Mitteranda pozostaje wierna tej zgubnej tradycji polityki francuskiej. Tak bardzo boi się rozpadu ZSRS, że długo wzdrygała się przed poparciem Chorwatów w obawie, iż mogą oni stanowić zły przy-kład i precedens dla Ukraińców czy Bia-łorusinów.

Niestety Francja nie jest sama. Niemcy, Anglia, Stany Zjednoczone, przekonane pseudoargumentami ekonomicznymi i przerażone prawdziwymi głowicami jądrowymi, trzymają się podobnej linii. W tym celu udzielają „centrum” wielkich kredytów. Kiedy „centrum” ogłosi niewypłacalność — co zdaniem „Wall Street Journal” nastąpi lada moment - kredyty te będą spłacane z pieniędzy zachodnich podatników. W swo-im czasie Związek Sowiecki pasożytnął na Zachodzie strasząc go swoją siłą. Dziś pasożytnie na nim strasząc go jeszcze bar-dziej swą rzekomą słabością.

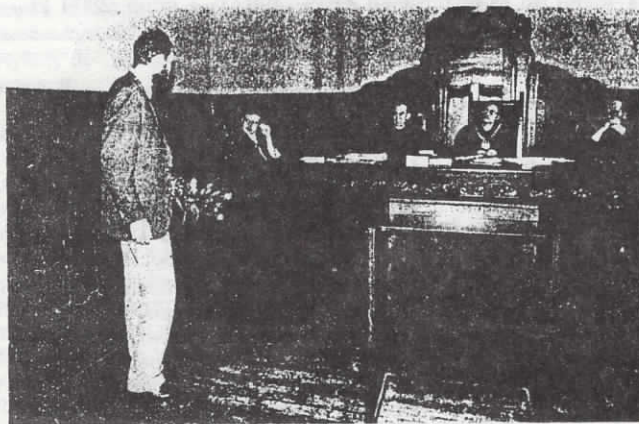
Alain BESANÇON

tłumaczył dla „OnP” Anatol Arciuch

Nasz redakcyjny kolega skazany na 8 miesięcy więzienia

Dobiegł końca proces Macieja Frankiewicza lidera Solidarności Walczącej w Poznaniu, którego Prokuratura Rejonowa Poznań Grunwald - Jeżyce oskarżyła o to, że w styczniu ubiegłego roku podczas nielegalnej manifestacji przed konsulem sowieckim w Poznaniu zniszczył elewację budynku i godło państwowe ZSRS. Straty, które pokrył Urząd Wojewódzki w Poznaniu oszacowano na ponad 14 milionów złotych.

Przypomnijmy, że akt oskarżenia zarzucał M. Frankiewiczowi zorganizowanie 14 lutego 1991 roku nielegalnej demonstracji, podczas którego budynek Konsulatu ZSRS został pomalowany farbami oraz obrzucony butelkami z benzyną. W ten sposób - jak twierdził prokurator - naruszona została eksterytorialność placówki dyplomatycznej i zagrożeni zostali urzędnicy obcego państwa. Maciej Frankiewicz, pp. raz kolejny potwierdził przed sądem iż przewodził grupie, która protestując przeciw interwencji sowieckich komandosów w Wilnie, przekroczyła mur okalający teren konsulatu.



Prowadzony przed Sądem Rejonowym w Poznaniu proces ciągnął się przez kilka miesięcy, odbyły się cztery rozprawy. Przysłuchiwani byli policjanci pełniący służbę pod Konsulem oraz uczestnicy wiecu. Przedstawiono również materiał dowodowy w postaci filmu video z wizji lokalnej. Kolejne rozprawy nie przynosiły właściwie nic nowego. Nieprzyjemnym (delikatnie określając) akcentem procesu było wniesienie przez prokuratora Frankowskiego, by poddać Macieja Frankiewicza badaniom psychiatrycznym. Prokurator motywował to tym iż podczas którejś z odsiadek w stanie wojennym oskarżony został skierowany na badania psychiatryczne, i nie zostały one dokończone, gdyż przerwała je amnestia. Maciej Frankiewicz stwierdził iż wniosek prokuratora odbiera jako niesłychaną szykanę własnej osoby. Tak też - z oburzeniem, zostało to odebrane przez zebraną publiczność. Podczas ostatniej rozprawy problem zdrowia oskarżonego przestał istnieć, gdyż jak napisała później jedna z poznańskich gazet „nie można mu przypisać ani ostrych zaburzeń psychotycznych ani niskiego ilorazu inteligencji” Maciej mówił podczas ostatniej rozprawy o swoich przykrych odczuciach, wywołanych tym incydentem - samym wnioskiem, jak również nie oddaleniem go przed sąd.

3 stycznia - podczas ostatniej rozprawy publiczność przybyła w nadkomplecie - wszyscy spodziewali się zakończenia procesu. W swojej mowie oskarżycielskiej prokurator stwierdził iż oskarżony swoim postępowaniem wyczerpał znamiona artykułów 275 i 285 kodeksu karnego. Prokurator przyznał, że nie zdołano udowodnić, aby to oskarżony zniszczył tablicę z sowieckim godłem przed konsulem i dlatego przypisane mu zniszczenia oszacowano tylko na ponad 4 miliony złotych. Za te wszystkie czyny prokurator zażądał kary 1 roku pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem wykonania kary na 4 lata, grzywny w wysokości 1 miliona złotych i pokrycia strat. Jednocześnie podkreślił, iż proces nie ma wcale charakteru politycznego - sądzono są bowiem nie myśli i przekonania, lecz czyny. Przeciwnego zdania był oskarżony, który w ostatnim słowie wygłosił przemówienie, podczas którego do-

wodził, że postąpił tak jak nakazywało mu sumienie i niczego nie żałuje.

Według niego i manifestacja przed konsulem i proces noszą znamiona polityczne. Oskarżony oświadczył, że niczego nie żałuje i gdyby miał dokonywać wyboru po raz wtóry, postąpiłby tak samo. Obok tego procesu - powiedział - toczył się inny, ważniejszy proces, proces historyczny. Szczęście dla nas jest to że zapadł już w nim wyrok. Nie ma już Związku Sowieckiego, powstała wolna Litwa, a sowieckie symbole wdeptano w bruk byłych sowieckich miast. M. Frankiewicz, podkreślał, że zbrodnica interwencja komandosów sowieckich w Wilnie wymagała radykalnych form protestu, a nie zbierania podpisów pod petycjami. Stwierdził, że demonstracja miała charakter polityczny i była reakcją na masakrę bezbronnym ludzi w Wilnie. Zniszczenie elewacji - czyli jej zapisanie i zarysowanie nie było „dziełem” tylko Solidarności Walczącej, co zresztą udowodnił przewód sądowy. Wejście na teren ambasady wytłumaczył koniecznością kontrolowania wydarzeń i ochrony pracowników konsulatu. W konkluzji wniósł o uniewinnienie. Jego przemówienie zakończyły gromkie brawa publiczności.

Po przerwie zapadł wyrok. Sąd uznał Macieja Frankiewicza winnym zarzucanych mu czynów i skazał go na 8 miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na 2 lata oraz pokrycie strat (4 miliony zł) spowodowanych podczas wiecu. Swoje orzeczenie Sąd uzasadnił tym, że według podpisanych przez Polskę konwencji genewskich placówki dyplomatyczne obcych państw znajdują się pod szczególną opieką prawną i wszelkie, nieważne czym motywowane, ataki na nie - są karalne. Wyrok nie jest prawomocny. Maciej Frankiewicz oświadczył iż złoży odwołanie. Obserwatorka procesu, była działaczka Komisji Praworządności NSZZ „S” i Senatu Zofia Romaszewska określiła proces jako polityczny. Stwierdziła iż sprawa powinna toczyć się przed kolegium, zaś wyrok jest zbyt wysoki i słabo udokumentowany.

Podczas przerw w rozprawach sympatycy Macieja Frankiewicza często wyrażali swoje oburzenie z faktu, że on jest sądzony. Powtarzało się wśród nich twierdzenie, że jest to „pierwszy proces polityczny III Rzeczypospolitej”. Wyrok tylko utwierdził w nich to przekonanie. Proces szeroko (i nie zawsze rzetelnie) komentowany był w lokalnej prasie radio i telewizji.

/m.z./

* Stanowisko Partii Wolności

1. Błędem są podwyżki opłat i podatków wprowadzone przez rząd premiera Olszewskiego, a zaplanowane przez poprzednią ekipę. Podwyżki te nie poprawią budżetu, bo zbiedniała większość społeczeństwa już nie jest w stanie regulować czynszów, opłat za energię itp. Od ogółu żąda się wyrzeczeń, a struktury państwa pozostają opanowane przez starą i nową mafię, która rozkrada kraj i uparcie broni swych pozycji w wojsku, finansach i administracji.

2. Narodowi należy powiedzieć prawdę o aktualnej sytuacji gospodarczej. Rządy Mazowieckiego i Bieleckiego, sprawowane pod dyktando Balcerowicza przy osłonie Wałęsy, ponoszą winy za obecne załamanie. Ludzi, którzy do tego doprowadzili, należy politycznie rozliczyć. Nikt z nich nie może dalej sprawować funkcji ministerjalnych.

3. Coraz powszechniejsza staje się świadomość konieczności ustąpienia Lecha Wałęsy, co podkreślaliśmy w trakcie naszej kampanii wyborczej. Prezydent musi odejść, gdyż swym postępowaniem szkodzi Polsce. Nie dotrzymuje zobowiązań, dał liczne przykłady braku odpowiedzialności, intryg politycznych i arogancji - na tym stanowisku Lech Wałęsa kompromituje Polaków. Ponieważ ani on sam, ani rząd, ani parlament zdają się nie dostrzegać problemu, kwestię tę poddajemy pod publiczną rozprawę.

Wrocław, 4 stycznia 1992 r.

Za Zarząd Główny Partii Wolności
Kornel Morawiecki, Przewodniczący

uwagi

* do Ustawy o Kombatantach z listopada 1990 r. oraz do Uchwały Sejmu RP z dnia 25 stycznia 1991 r.

Jako uczestnik walk o wolność i niepodległość domagam się jasnego i wyraźnego określenia tego, co od września 1939 roku aż po grudzień 1990 roku spotkało Polskę i Polaków. Kraj nasz był okupowany!

Dla mnie nie do przyjęcia jest, by urzędowy bandytyzm władz ruso-komunistycznych, stosowany jako metoda rządzenia krajem, nazywano represjami. Przecież na skutek tych rządów, w oparciu o siłę sowieckiej Rosji, zginęło kilkaset tysięcy naszych obywateli. Nawet departament Stanu USA podaje, że obywateli polskich namordowano 370 tysięcy, a gdy pomnożymy tę ilość przez ich rodziny, to suma represjonowanych będzie wynosiła co najmniej półtora miliona.

Terror w stosunku do rolników szczególnie nasilił się w latach 1947-50, przy czym w okresie żniwnym osadzano ich w więzieniach, lecz także mordowano co oporniejszych, którzy odmawiali przyjęcia sowieckiego modelu gospodarki rolnej. Obawiam się, że wielu omawiając tamte czasy bezkrytycznie przyjęło tezę ruso-komunistyczną, że i dla Polski II Wojna Światowa zakończyła się w maju 1945 roku. Lecz dla Polaków i Polski wojna faktycznie trwała do 1990 roku. W tym okresie Rosja i jej agenci nazywający siebie PKWN, z pełną premedytacją dokonywali różnych ciężkich przestępstw, w tym łapanek i wywozów do Rosji, rabowano majątek prywatny i narodowy, oraz mordowano w różnych okolicznościach setki tysięcy obywateli.

I te zbrodnie sejm w 65% ruso-komunistyczny śmie nazwać represjami!!

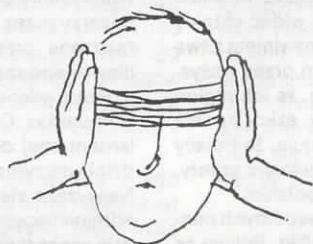
Za słowem represje, wielu współwinnych stara się ukryć swój udział w faktycznie dokonywanym ludobójstwie... Mam jednak nadzieję, że rzeczywiście już polski parlament i powołany polski rząd, wiele uchwał i decyzji obecnego pseudopolskiego parlamentu zweryfikuje.

Wielu ludzi oddziały wojskowe organizowane od 1943 roku na terenie Rosji, później występujące pod nazwą Wojsko Polskie, traktuje nadal jako zbrojne ramię narodu polskiego. Lecz dla najstarszych, szczególnie akowców, jest rzeczą znaną, że aczkolwiek żołnierz początkowo pochodził zwolniony z łagrów sowieckich, czy też łapanek przeprowadzonych w Kraju i był Polakiem, to dowódcy (w 95%) oraz organizacja tego wojska były sowieckie. (Analogicznie było w legiach cudzoziemskich). I wojsko to tylko w interesie Moskwy było używane: tak było w walkach przeciwko Niemcom, a szczególnie w walkach toczonych przeciwko polskiemu społeczeństwu, które nie godziło się z niewolą bolszewicką.

Niemal w identycznej sytuacji jak nasza, znalazły się i inne narody ujarzmione przez Moskwę, w tym i Ukraińcy. I niezależnie od oceny wojennego okresu tragicznych walk

i stosunków polsko-ukraińskich, trzeba zanotować fakt, że na przełomie lat 1944/45 i później stosunki pomiędzy naszymi narodami diametralnie zostały odmienione: z walk pomiędzy nami przeszliśmy na pełną współpracę. Polacy i Ukraińcy żołnierze AK i WiN oraz UPA i UHWR zawarli porozumienie, które przyniosło pokój a także doprowadziło do pełnej współpracy i współdziałania sił niepodległościowych naszych narodów.

Ustały walki na całym styku polsko-ukraińskim, czyli prawie od Brześcia nad Bugiem aż poza Przemyśl, dalej dziesiątki tysięcy rolników z rodzinami, powróciło na swoje gospodarstwa i bezpiecznie rozpoczęło odbudowywanie wiosek, które często były atakowane przez siły sowieckie oraz ruso-komunistyczne. To, czego nie udało mi się osiągnąć w okresie okupacji niemieckiej zrealizowałem pod sowiecką. Już we wrześniu 1944 roku podległe mi siły AK, a później i siły akowskie całego Okręgu



Lubelskiego a nawet Rzeszowskiego przedstawili się na współpracę i współdziałanie polsko-ukraińskie, skierowane przeciwko okupantowi ruso-komunistycznemu. Przykładem tego, m.in. była walka o Bircze koło Przemyśla oraz w maju 1946 r. atak na Hrubieszów, kiedy to wspólnymi siłami AK - WiN i UPA, nie tylko uwolniono 50 akowców, lecz także zniszczono siedzibę UB oraz zlikwidowano część ubeków, UPA zaś w siłę 1200 żołnierzy, wspomagając nas, zaatakowała batalion NKWD. Było to pierwsze, po 25 latach od czasów Petlury i Piłsudskiego, na tak dużą skalę zbrojne współdziałanie Polaków z Ukraińcami.

I właśnie, by zniszczyć dążenia niepodległościowe Polaków i Ukraińców, Rosja Sowiecka zmontowała sobie podległe siły zbrojne, w skład których wchodziły dywizje rosyjskie, ruso-komunistyczne z PRL i Czechosłowacji. I te wojska osiągnęły zamierzony cel, ale okazało się, że żołnierze Polacy, chociaż dowodzeni przez oficerów sowieckich, często przepuszczali partyzantów polskich i ukraińskich, udając, że ich nie widzą. Ponadto oddziałom UPA udało się zlikwidować generała sowieckiego, przydzielonego do służby w wojsku Berlinga - Żymierskiego, byłego dowódcę wojsk rosyjsko-komunistycznych walczących w Hiszpanii, oślawionego „Waltera” Świerczewskiego. Kto tego generała oddziałom

UPA, dowodzonym przez Hrynia - na odstrzał postawił, na razie jeszcze nie wyjaśniono...

Idziś, okazuje się, że żołnierzy - Polaków, zmuszonych do walki przeciwko UPA a i często walk bratobójczych, bowiem tam również i to dosyć liczne były oddziały partyzantki polskiej, sejm o 65% składzie komunistycznym, postanowił uznać za kombatantów. A więc i czerwony generał „Walter”, tysiącami zatwierdzając wyroki śmierci wydawane na niewinnych ludzi oraz inni sowieci, będą naszymi kolegami - kombatantami? Ta teza może być utrzymana, gdyż oni toczyli walkę w interesie Rosji Sowieckiej!!! I toczyli na jej rozkaz!!! Ustawodawcy jakby nie rozumieli ówczesnych zjawisk historycznych i „Wehrwolf”, który walczył o prawo do panowania Niemców, zrównali z tymi, którzy walczyli nie tylko o swoją wolność, lecz i o wolność naszą, właśnie przeciwko wspólnemu okupantowi naszych państw i narodów. Ukraińcy walczyli przeciwko ROSJI Sowieckiej!!!

Przez dziesiątki lat nas akowców i innych nazywano bandytami, tysiącami skazywano na śmierć i wyroki wykonywano, dla czegoż więc obecnie, gdy w kraju naszym nastąpiły poważne zmiany, nie uznać żołnierzy UPA za naszych kombatantów? Bo wszak w przeciwieństwie do nich sowieci, enkwudziści, czy ubek byli naszymi ciemnymi żywicielami!! Ukraińcy - UPA od 1944 roku czynnie świadczili przyjaźń, byli naszymi sojusznikami i właśnie tym żołnierzom UPA, tak jak i nam w Polsce, oczywiście wolnej i niepodległej, należą się prawa kombatanta. Byłoby to również, na przyszłość, dobrym działaniem politycznym!!!

Odnosnie żołnierzy tzw. Ludowego Wojska, walczących przeciwko Armii Krajowej i innym niepodległościowym siłom, należałoby wytłumaczyć i przeprosić za komunistów, że użyto ich do niesłusznej walki o realizację celów imperialistycznych rosyjskich i komunistycznych, które były i są przeciwstawne niepodległej Polsce.

Natomiast dowódcom tych wojsk, jako ludziom świadomym, należałoby wytoczyć procesy za współudział w maltretowaniu i mordowaniu polskiego społeczeństwa, w tym Ukraińców, będących obywatelami naszego kraju.

Uchwałę sejmu z dnia 25 stycznia 1991 roku, w zasadzie akceptując, lecz zawiera ona sformułowanie całkowicie nie do przyjęcia, bowiem działania władz PRL określa jako „niegodne”. Te władze były utworzone przez Moskwę i jej dobrowolnie, a nawet chętnie służyły, dokonując zbrodni ludobójstwa. Władze PRL były zbrodnicze, a nie niegodnie postępujące.

New York, 16 kwietnia 1991 roku

Marian GOŁĘBIEWSKI

Mniejszość polska na Litwie

OD REDAKCJI: Przedstawiamy Państwu fragment artykułu S.R. Buranta, *stosunki polsko-litewskie: Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość* (Polish - Lithuanian Relation: Past, Present, and Future) zamieszczonego w majowo-czerwcowym numerze „Problems of Communism”. Autor z wyjątkowym znanstwem - jak na zachodniego obserwatora - omawia powikłane relacje polsko - litewskie. Prezentowany rozdział artykułu ukazuje sytuację polskiej mniejszości na Litwie i rozwój stosunków pomiędzy obiema nacjami.

Ludność pochodzenia polskiego stanowi około 7% liczebności litewskiego społeczeństwa. Polacy mieszkają głównie w obwodzie wileńskim /67%/ i sołecznikowskim /82%/. Duża liczba Polaków mieszka również w okolicach Trok /24%/ i Święciana /29%/.

Polacy na Litwie czują się dyskryminowani - szczególnie od czasu wzrostu uczuć nacjonalistycznych spowodowanego powstaniem Sajudisu. Sądzą oni, że Sajudis czy grupy z nim związane uznają ich za spolonizowanych Litwinów, których trzeba poddać re-lituanizacji. Niektórzy Litwini traktują Polaków jako „tutejszych” posiadających tylko regionalne zwyczaje i tradycje nieco tylko różne od litewskiej tożsamości narodowej. Prędzej czy później powinni zostać oni przemienieni w Litwinów.

Podobnie jak w innych przypadkach narodowych konfliktów, etniczne nierówności mają źródło w społeczno-ekonomicznym położeniu obu nacji. Polacy na Litwie mają mniej osób z wyższym wykształceniem niż Litwini. Obwody zamieszkane przez Polaków są niedoinwestowane przez rząd litewski. Wyraźnie widać różnicę pomiędzy czystą, zasobną i ekonomicznie bardziej rozwiniętą Litwą kowieńską a biednym, zaniedbanym i zapomnianym przez wszystkich obwodem wileńskim. Etniczni Polacy twierdzą, że ich region posiada mniejszą liczbę lekarzy, szpitali, telefonów, szkół itp. niż pozostałe regiony na Litwie. Litwini z kolei argumentują, że Polacy posiadają przywileje z których mogą korzystać: np. własne szkoły, nabożeństwa w języku polskim czy prasę w języku polskim.

Dwie wspólnoty narodowe nie posiadają niestety wspólnych punktów, które by mogły osłabić narodowościowy konflikt. Polacy są głównie robotnikami i chłopami. Nie istnieje polska inteligencja reprezentująca polską mniejszość w rozmowach z litewskimi elitami politycznymi. W dodatku Polacy czują wyraźną niechęć do litewskości. Nie uczą się języka litewskiego. Studenci wyższych uczelni na co dzień posługują się językiem rosyjskim, który jest bliższy polskiemu i bardziej pomocny w życiu w Związku Sowieckim. Nawet wspólne Polakom i Litwinom rzymsko-katolickie wyznanie nie jest w stanie załagodzić narodowościowego konfliktu. Przeciwnie, religia staje się dodatkowym źródłem konfliktu dla obu stron. Kiedy w 1988 roku katedra św. Anny została zwrócona kościołowi Katolickiemu na Litwie, Polacy poprosili o odprawianie nabożeństw w języku polskim. Litewska hierarchia kościelna odmówiła.

Ponieważ bardzo mało Polaków wybierało naukę języka litewskiego, Rada Najwyższa Litwy 18.XI.1988 r. uchwaliła ustawę o języku litewskim, która miała wejść w życie 25.I.1989 roku. Spowodowało to silny opór polskiej mniejszości narodowej. Nowe prawo językowe ustanawiało język litewski językiem urzędowym oraz nakładało na wszystkich urzędników obowiązek nabycia elementarnej znajomości tego języka do 21.I.1991r. Polacy narzekali na zbyt krótki okres przejściowy i na to że ustawa pomijała milczeniem obwody zamieszkane przez Polaków.

Z powodu krzywd doznawanych od Litwinów Polacy postanowili wziąć swoje sprawy w swoje ręce. W połowie 1989 roku niektóre rady gminne w obwodzie wileńskim i sołecznikowskim proklamowały powstanie polskich autonomicznych terytoriów. Litewski parlament zażądał unieważnienia tych uchwał 7.IX.1989 r. podczas nadzwyczajnej sesji rady obwodu w Sołecznikach polscy deputowani proklamowali powstanie polskiego obwodu autonomicznego. Kilka dni później deputowani z obwodu wileńskiego podjęli podobną decyzję. Jednakże pod koniec września litewski parla-

ment anulował uchwalone przez Polaków deklaracje. 23.V.1990 roku rada obwodu sołecznickiego ogłosiła powstanie polskiego obwodu autonomicznego, gdzie obowiązywać miała konstytucja Litewskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. I znów Litewska Rada Najwyższa uznała tę decyzję za nieważną. Ostatecznie 7.X.1990 polscy deputowani z Wilna, Sołecznik, Trok i Święciana proklamowali powstanie Polskiego Autonomicznego Terytorium Narodowego wewnątrz republiki litewskiej. Było to najpoważniejsze wyzwanie wobec litewskiej państwowości.

Nie było więc zaskoczeniem, że litewskie władze zareagowały bardzo nieprzychylnie na działania podjęte przez polską mniejszość. Virgilius Capaitis nazwał je jedną z najpoważniejszych prób zbadania wiarygodności litewskiej władzy i nie zaoferował żadnych ustępstw. Pozostali przedstawiciele litewskich elit politycznych /Landsbergis i Prunskiene/ argumentowali, że Polacy działali pod wpływem manipulacji nomenklatury lojalnej wobec Moskwy i działania te nie odzwierciedlają prawdziwych nastrojów polskiej ludności.

Jednakże, aby rozwiązać polski problem litewski rząd musiał postąpić się metodą kija i marchewki. 27.XII.1990 Rada Najwyższa uchwaliła ustawę o władzy administracyjnej w autonomicznych obwodach Litwy. Dotyczyła ona głównie obszarów zamieszkałych przez Polaków. Przewidywała ona rozwiązywanie lokalnych władz, zawieszenie prawa do samorządności i odgórne mianowanie komisarzy przez wileńską administrację w przypadku, gdyby obwody rządzone przez polską mniejszość przeciwstawiły się polityce litewskiego rządu.

Rząd wileński poczynił również szereg ustępstw. Wicepremier Romualdas Ozolas i jednocześnie przewodniczący komisji parlamentarnej do zbadania problemów wschodniej Litwy zapowiedział wstrzymanie wprowadzenia litewskiej ustawy językowej. Rada Najwyższa zleciła rządowi przygotować do 30 V projekt nowego administracyjnego podziału kraju, który by łączył w jednym obwodzie większość Polaków mieszkających na Litwie. W obwodzie tym język polski stałby się językiem urzędowym a Polacy mieliby prawo do nauki w języku polskim.

Podobne działania podjęte przez litewski rząd mogły tylko częściowo załagodzić konflikt pomiędzy obiema nacjami. Czynnikiem, który skłonił Polaków i Litwinów do zaprzestania sporów była sowiecka interwencja w połowie stycznia 1991 roku. Krótko po masakrze w Wilnie okazało się podczas lutowego referendum, że około 66% Polaków popiera litewską niepodległość. Mimo, że liderzy Związku Polaków na Litwie wezwali swoich rodaków do głosowania na litewską niepodległość większość Polaków nie przesłuchała apelu swoich przywódców i zbojkotowało referendum, w którym 90,5% uczestników opowiedziało się za niepodległością. Jednakże momentem przełomowym dla polskiej mniejszości w Sołecznikach było głosowanie nad przyszłością Związku Sowieckiego. Większość głosujących w tym obwodzie była za utrzymaniem Związku Sowieckiego w swej dotychczasowej postaci. Rezultat głosowania rzutował na postawę Polaków wobec litewskiej teraźniejszości. Wyniki plebiscytu i referendum pokazywały, że pomimo rządowych ustępstw Polacy nadal nie dowierzają Litwinom i nie będzie łatwo pokonać ich nieufność. Chociaż polscy politycy nie zajmowali oficjalnego stanowiska wobec różnych autonomicznych deklaracji polskiej wspólnoty narodowej to nieoficjalnie próbowali oni zniechęcić litewskich Polaków do takich działań. Artykuły w polskich pismach /„Polityka”/ o polityce Skubiszewskiego nie popierały dążeń Polaków na Litwie do zaprowadzenia narodowej jurysdykcji. Ministerialni politycy sugerowali nawet, że opinia publiczna w Polsce powinna wyrazić jawną dezaprobatę wobec różnych autonomicznych deklaracji polskiej wspólnoty narodowej to nieoficjalnie próbowali oni zniechęcać litewskich Polaków do takich działań.

Polski rząd nie popierał autonomicznych dążeń Polaków na Litwie z obawy przed pogorszeniem stosunków z Litwą, która uważała by to za ingerencję w jej wewnętrzne sprawy. Popieranie autonomicznych dążeń Polaków mogłoby być odbierane jako przejaw polskiego rewanżyzmu i zagrożenie dla jednności terytorialnej Litwy. Niektórzy Litwini traktowali nawet polskie deklaracje jako wstęp do stworzenia polskiej autonomicznej republiki we wschodniej Litwie. Początkowo byłaby ona częścią ZSRS, w przypadku upadku państwowości sowieckiej — zgodnie z obawami Litwinów stałaby się ona niezależną częścią. Poparcie Warszawy dla autonomicznych dążeń Polaków stworzyłoby podobne obawy przed polskim aneksjonizmem na Ukrainie i Białorusi, gdzie na obszarach dawnego państwa polskiego żyje znaczna liczba Polaków. Polski rząd podzielał także zdanie Sojudisu, że działania Polaków są w znacznej mierze manipulowane przez Moskwę — nie chciał więc uchodzić za sojusznika Kremla.

Jednakże w tym samym czasie polski rząd i opinia publiczna próbowała w inny sposób pomóc polskiej mniejszości, bez narażania się na zarzuty ingerencji w wewnętrzne sprawy Litwy. Zapoczątkowało to obustronne kontakty liderów polskiej mniejszości z polskimi politykami. Początki nie były łatwe, ponieważ wcześniej rząd sowiecki i komunistyczny rząd w Polsce zakazywały nawiązywania takich kontaktów. Również Polacy jeżdżąc na Litwę nie zawiązywali znajomości z polską mniejszością. Polacy ci, (z których większość jest obecnie w rządzie lub w parlamencie) byli wyłącznie intelektualistami więc nawiązywali i podtrzymywali kontakty ze swoimi litewskimi partnerami, z którymi mogli znaleźć wspólny język. Większość liderów polskiej mniejszości narodowej w przeszłości było aktywistami KPZR — nie był to ten rodzaj ludzi, z którymi niezależnie myślący polscy intelektualiści, zarówno prywatnie jak i służbowo chcieliby utrzymywać bliskie związki.

Z tego też powodu polska wspólnota na Litwie czuje się zdradzona przez polski rząd i „Solidarność”. Polacy na Litwie z goryczą narzekają, że kiedy przyjeżdżają delegacje „Solidarności”, to rozmawiają one wyłącznie z przywódcami Sajudisu. Tamtejsi Polacy oskarżają Polskę o „zarzynanie” (butchering) polskiej społeczności na Litwie wespół z Sajudisem, który zamierza „wykończyć” (finish off) żyjących tam Polaków. Tak więc istnieje po obu stronach olbrzymi ładunek niechęci i niewiary. Pomimo tych trudności polski rząd znalazł przywódców na Litwie, z którymi mógł nawiązać współpracę. Są to deputowani do Rady Najwyższej Litwy — Czesław Okieńczyk, dr Medwerd Ctobert — dyrektor Wileńskiego Instytutu Medycyny Eksperymentalnej oraz Zygmunt Balcerowicz — Redaktor „Kurier Wileńskiego”. Urzędnicy rządowi oraz parlamentarzyści zapraszają polskich przywódców narodowych do Warszawy, gdzie próbują łagodzić postulaty stawiane przez polską mniejszość na Litwie w zamian za poparcie dyplomatyczne udzielane Polakom w oficjalnych rozmowach z litewskim rządem.

Natomiast parlamentarzyści i urzędnicy ministerialni wyjeżdżający na Litwę w rozmowach z Litwinami podkreślają wagę rozwiązania problemu polskiej mniejszości dla dalszych stosunków polsko-litewskich. List „Do naszych Przyjaciół - Litwinów” z listopada 1989 roku domagał się tolerancji w tej części Litwy, dla polskiej mniejszości. W czasie marcowej (1990) wizyty delegacji OKP, jej członkowie w rozmowach z rządem litewskim wskazywali na konieczność ustępstw wobec Polaków żyjących na Litwie. Minister Spraw Zagranicznych K. Skubiszewski kilkakrotnie poruszał w swoich przemówieniach problem mniejszości polskiej na Litwie. Kwestia ta była też przedmiotem rozmów podczas osobistego spotkania Skubiszewskiego z litewskim ministrem spraw zagranicznych Sądargasem. Ostatnio podczas sejmowego przemówienia, K. Skubiszewski narzekał na traktowanie polskiej mniejszości na Litwie, choć równocześnie pochwalił litewski rząd za wprowadzenie w końcu stycznia praw mniejszości narodowych na Litwie. Ustanowienie tych aktów ustawodawczych przypisywał presji wywieranej przez polski rząd i opinię publiczną.

Być może najlepszym sposobem przekonania Litwinów do polepszenia losów Polaków byłoby prowadzenie tolerancyjnej polityki w stosunku do litewskiej mniejszości żyjącej w Polsce. W czasie panowania komunizmu polskie ustawodawstwo ignorowało istnienie mniejszości narodowych w Polsce. Nic więc dziwnego, że litewska mniejszość, której liczebność szacuje się na około 10 - 30 tys. osób była dyskryminowana przez komunistyczny reżim w Polsce. Wpływowy polityk litewski Virgilius Capaitis powiedział, że

Litwini w Polsce cieszą się mniejszymi prawami niż Polacy na Litwie. W Polsce bowiem nie są drukowane litewskie podręczniki, nie kształcą się też nauczycieli języka litewskiego. Litewska wspólnota otrzymuje bardzo mało środków na rozwój życia kulturalnego i społecznego. Wprawdzie premier Mazowiecki obiecał polepszyć warunki życia Litwinów w Polsce, lecz faktyczny postęp wymaga czasu. Ostatnio rząd przyznał dotację litewskiemu kwartalnikowi „Ausra”, umożliwiając przekształcenie się mu w miesięcznik. Polski rząd wyasygnował też kwotę w wysokości 1 biliona złotych na budowę Litewskiego Centrum Kulturalnego w Puńsku. (Jest to przykład, że tego typu działania mogą rodzić podobne inicjatywy po tamtej stronie litewski rząd obiecał poprzeć budowę polskiego centrum kulturalnego w Ejszyszkach).

Jak długo Litwa walczyła o niepodległość, tak długo polski rząd nie wywierał presji na Wilno, by wymóc poprawę sytuacji polskiej mniejszości. Polacy obawiali się wykorzystania tego przez Moskwę, która chciałaby skruszyć litewską nieustępliwość. Kiedy Litwa odzyskała niepodległość, a problemy napotkane przez mniejszość w obu krajach nie zostały rozwiązane, sprawa ta zostaje kluczowym problemem w stosunkach pomiędzy Litwą a Polską. Ostatnie wypadki pokazują, że traktowanie mniejszości narodowych w południowo-wschodniej i centralnej Europie stanie się międzynarodowym problemem w stosunkach pomiędzy różnymi państwami. Dowodem tego jest węgiersko-rumuński konflikt w Siedmiogrodzie, węgiersko-słowacka dyskusja o warunkach życia Węgrów w Słowacji czy Słowaków na Węgrzech. Rozwiązanie któregośkolwiek z problemów polskiej czy litewskiej mniejszości jest kluczowym dla ułożenia przyszłych stosunków pomiędzy Polską a Litwą i również stanowiłoby pewien wzorzec dla rozwiązania podobnych spraw tej części Europy.

Rozwiązanie narodowościowego konfliktu będzie również kluczowe dla dalszych relacji pomiędzy Moskwą a Wilnem. Najbardziej lojalne elementy wobec Moskwy nie będą wykorzystywać problemów polskiej mniejszości, jeżeli będą one rozwiązane. Na pewno nie należy oczekiwać tego w zbyt krótkim czasie. Ale Polska mogłaby odegrać potencjalnie większą rolę. Jeżeli polski rząd i polska opinia publiczna będą kontynuować swoje wysiłki w przekonywaniu litewskiego rządu, że powinien zmienić on swoją politykę narodowościową, wtedy litewscy Polacy (jeżeli wysiłki te będą skuteczne) nie będą szukać poparcia w Moskwie lecz w Warszawie. Moskwa byłaby więc pozbawiona jednego z instrumentów wykorzystywanego do łamania oporu Litwinów.

Stephen R. BURNT

Staralem się uświadomić Amerykanom, że komunizm to był syf, a nie idea

— Mam wrażenie, że pomogłem bardzo wąskiej grupie intelektualistów zrozumieć specyfikę naszego, polskiego cierpienia. Sądzę, że jest to o wiele ważniejsze niż udział w wystawie — proteście przeciwko zamordowaniu dwóch pingwinów. A oni robią tam głównie takie rzeczy i uważają je za najważniejsze. To trochę tak jak z nami w czasach wojny w Wietnamie. Kiedy czytaliśmy, że jakiś tam „B - 52” nie trafił w fort, lecz zbombardował dwa miasteczka, to było dla nas równie dalekie jak dla Amerykanina opis szykanowania „Solidarności”. Malując staralem się, aby oni sobie wreszcie uświadomili, że komunizm to był syf, a nie idea. Oni tego kompletnie nie pojmowali. Kiedy w latach siedemdziesiątych Barańczak wyleciał z Uniwersytetu, a Krynicki siedział w areszcie domowym, przemycali z kraju do Stanów wystawę polskiego samizdatu. Byłem wtedy gwiazdą rysunków antysowieckich w „New York Times” i powiedziałem redaktorowi politycznemu tej gazety, żeby napisał o tym dziesięć linijek. A oni mi na to, że to teraz nie jest na fali, a w ogóle to czemu nie wracam do Polski, aby złożyć opozycyjne pismo, w którym inteligencja polska mogłaby protestować. Amerykanie dopiero w ciągu dwóch ostatnich lat pojęli, że komunizm to była zgroza, rak i więzienie. Wcześniej zdarzali się nawet tacy subtelni intelektualiści, którzy tłumaczyli mi, że jak wszyscy mają po 30 dolarów, to jest fantastycznie.

Jana SAWKA

Fragment wypowiedzi znanego plastyka dla tygodnika „Wprost”.

EUROPA ŚRODKOWO-WSCHODNIA WOBEC NIEPODLEGŁOŚCI PAŃSTW BAŁTYCKICH

Jedną z nieoczekiwanych konsekwencji pierestrojki w ZSRS był rozwój ruchów narodowych dążących do formalnego wyodrębnienia się ze Związku Sowieckiego. Najbardziej dojrzałą postać przybrał ruch narodowy na Litwie, Łotwie i Estonii. Nic więc dziwnego, że rezultatem ożywienia narodowego w krajach bałtyckich była Deklaracja Niepodległości Litwy ogłoszona 11. III. 1991 r. Wkrótce potem pozostałe dwa państwa bałtyckie ogłosiły, że rozpoczynają przejściowy okres dochodzenia do własnej niezależnej państwowości.

Gorbaczow od samego początku uznawał decyzję Litwy za nieważną.

Formą nacisku na litewskie społeczeństwo była ekonomiczna blokada Litwy. W styczniu 1991 roku wojska OMON-u oparowały kluczowe pozycje w Wilnie. Terror w Wilnie wywołał sprzeciw międzynarodowej opinii publicznej, jednakże rządy pozostały bierne zwlekając z oficjalnym uznaniem Litwy. Z krajów europejskich jedynie maleńka Islandia zdobyła się na dyplomatyczne uznanie Litwy. Proces wybijania się na niepodległość państw bałtyckich został przyspieszony nieudanym zamachem stanu. 20 III 1991 Estonia, a dzień później Łotwa zadeklarowały pełną niepodległość. Krok ten spotkał się z oficjalnym uznaniem największej republiki Związku – Rosji. Po uznaniu państw bałtyckich przez Rosję Jelcyna, w przeciągu półtora tygodnia około 40 krajów uznało suwerenność państw bałtyckich i nawiązała z nimi oficjalnie stosunki - w tym USA, kraje EWG oraz były kraje komunistyczne /z wyjątkiem Jugosławii/.

Jednym z pierwszym krajów uznających niepodległość Litwy była Polska. Wcześniej Warszawa prowadziła dwutorową politykę wobec wschodniego sąsiada - utrzymywała stosunki dyplomatyczne z ZSRS jako całością i z poszczególnymi republikami. Polska najbardziej ożywione stosunki nawiązała z Litwą, nie zdobywając się na oficjalne uznanie tego kraju. Polska obawiała się ujemnych reperkusji ze strony

Związku Sowieckiego. Uznanie niepodległości Litwy nastąpiło 26 VIII kończąc pewien przejściowy etap w polskiej polityce wschodniej.

W tym samym dniu niepodległość krajów bałtyckich uznała Bułgaria i Rumunia. Bułgaria chciała w ten sposób udowodnić, że jest normalnym suwerennym i demokratycznym krajem, mimo że większość w bułgarskim parlamencie mieli wówczas komuniści. Wcześniej antykomunistyczna Unia Sił Demokratycznych potępiła masakrę w Wilnie, a parlament bułgarski wystąpił nawet swoich przedstawicieli do Wilna. Pewnym zaskoczeniem była szybka reakcja władz rumuńskich, których potępienie styczniowej masakry w Wilnie było najsłabsze z reakcji krajów środkowo-wschodnioeuropejskich. W przeddzień niepodległościowej deklaracji Mołdawii radio w Bukareszcie nadało oświadczenie rządowe, które stwierdzało nieważność paktu Ribentrop-Mołotow uznające niepodległość państw bałtyckich. Stanowiło to pewną zachętę podobnych działań, które miały być podjęte przez Mołdawię.

Opinia węgierska od początku sympatyzowała z niepodległościowymi dążeniami Bałtów. Nowo wybrany parlament w maju 1990 roku poparł niepodległościowe zabiegi krajów bałtyckich. W listopadzie 1990 roku węgierski premier. J. Antall uznał aneksję krajów bałtyckich w 1940 za nieważną. Po upadku moskiewskiego zamachu Antall oświadczył, że Węgry są gotowe do uznania niepodległości Litwy. Procedura dyplomatyczna sprawę przeciągnęła o kilka dni i ostateczne uznanie krajów bałtyckich nastąpiło 29 VIII. Kilka dni później (2 IX) wznowiono regularne stosunki dyplomatyczne.

Tego samego dnia (29 VIII) niepodległość Litwy uznała również Czechosłowacja. Czeska opinia publiczna sympatyzowała z litewskimi dążeniami niepodległościowymi, lecz koła rządowe były bardziej powściągliwe. Czesi nie chcieli rozbudzać podobnych nadziei wśród Słowaków, po-

nadto obawiali się reakcji Moskwy. Przykładem może być odwołanie spotkania Gorbaczowa z Havlem, który zaproponował, by krajom bałtyckim przyznać status obserwatora na listopadowej konferencji KBWE w Paryżu. Pewną przeszkodą w uznaniu państw bałtyckich była również przeszłość - kraje bałtyckie były jedynymi z państw, które uznały w 1939 roku niepodległość Słowacji. Ostateczne uznanie niepodległości Litwy, Łotwy i Estonii nastąpiło po dwukrotnym posiedzeniu parlamentu /23 i 26 VIII/ - 29 VIII.

Ten pociągny przegląd postawy postkomunistycznych państw Europy środkowo-wschodniej jaskrawo ukazuje, że wszystkie kraje, pomimo deklaracji sympatii z dążeniami Bałtów obawiały się zrobić krok, który mógłby je narazić na reperkusje ze strony Moskwy. Ta postawa ostrożnego pragmatyzmu cechowała wszystkie kraje łącznie z Polską, która ze względu na tradycje historyczne i dużą liczbę Polaków zamieszkujących na Litwie była najbardziej predestynowana do uznania niepodległości państw bałtyckich jako pierwsza. Zaciążył tutaj przede wszystkim strach przed reakcją Moskwy, groźba sankcji ekonomicznych oraz obawa przed rozbudzeniem podobnych ruchów odśrodkowych w krajach regionu. Uznanie państw bałtyckich nastąpiło dopiero po akceptacji ich istnienia przez Rosję Jelcyna, któremu zamach stanu umożliwił przebudowę ustroju imperium. Wszystko to ukazuje jak dalece niesamodzielna mimo werbalnych deklaracji jest nadal polityka zagraniczna państw środkowo-wschodnio europejskich.

Krzysztof BRZECHCZYN

Od AUTORA: omówienie to powstało na podstawie artykułu „*Eastern Europe Reacts to the Baltic States' Independence*” zamieszczonego we wrześniowym numerze *Raport on Eastern Europe*.

BYŁEM MĘŻEM ZAUFANIA

Na prośbę warszawskiego kierownictwa Partii Wolności, byłem mężem zaufania tej partii przy Komisji Wyborczej w San Francisco. Na 26 października br. Konsulat Generalny RP w Los Angeles powołał 3 komisje wyborcze. Dwie w Kalifornii i jedną w Seattle. Było to stanowczo za mało, gdyż okręg konsularny obejmuje 15 stanów i uniemożliwiono wzięcie udziału w wyborach skupiskom polskim w Arizonie, Colorado, Nevadzie, Oregonie i w Texasie.

Konsulat działa od 5 miesięcy i, jak twierdzą konsulowie, nie ma jeszcze szerszych kontaktów. Wierzę, że tak jest, ale trudno to sprawdzić. Było kilka miesięcy czasu na sprawne przygotowanie terenu wobec oczekiwanych wolnych wyborów. Sprawa jest bolesna o tyle, że w pominiętych skupiskach polskich, liczna jest nowa, posolidarnościowa emigracja, w dużym stopniu patriotycznie zaangażowana w losy Ojczyzny. Trudno też wyobrazić sobie, że Konsulat w Los Angeles podjął działalność „w ciemno” od zera, bez pewnych danych o środowiskach polskich na podległym sobie obszarze, będących w dyspozycji MSZ i dotychczasowych

placówek dyplomatycznych w Stanach Zjednoczonych. Dzisiaj jest już po fakcie i żywić wypada nadzieję, że przy następnych wyborach będzie lepiej.

Komisja w San Francisco mieściła się w Domu Polskim. Byłem jedynym obserwatorem tamtejszego głosowania, gdyż inne ugrupowania polityczne mężów zaufania nie powołały. Lokal wyborczy otwarty był 14 godzin, od 6 rano do 8 wieczorem. Pierwszych dwoje wyborców zjawiało się tuż po otwarciu, a ostatni w momencie zamknięcia lokalu. Głosowało 168 osób, a nie 158, jak podano w „Nowym Dzienniku”. 158 było głosów ważnych, ponieważ 10 unieważniono.

Według powierzchownych danych, okolice San Francisco-Bay Area, zamieszkuje ok. 5-6 tysięcy Polaków. W wyborach więc udział wzięło ok. 3% tej liczby. Frekwencja to żenująco niska. Ale w drugim miejscu w Kalifornii, w Los Angeles, było jeszcze gorzej, gdyż głosowało niecałe 300 osób na 40 tysięczną Polonię. W San Francisco głosowali na ogół ludzie młodzi i w średnim wieku. Obok

osób zamieszkałych w USA na stałe, udział w wyborach wzięły także grupy osób przebywających tutaj czasowo, zwłaszcza na szkoleniach czy stypendiach, m.in. uniwersytetu w Stanford i mocno lewicowego uniwersytetu w Berkeley.

Doszło do wzruszających scen również ze starszymi osobami, z emigracji powojennej. Niektórzy dopiero teraz, w tych wyborach, głosowali po raz pierwszy. Przyszedł pan, który nigdy nie miał polskiego paszportu, ponieważ opuścił Polskę jako kilkunastoletni chłopak po upadku Powstania Warszawskiego. Niestety, do głosowania nie został dopuszczony. Nie posiadał wymaganego dokumentu, potwierdzającego polskie obywatelstwo. Inny posiadał taki dokument, ale wystawiony przez władze brytyjskie, co także uniemożliwiło mu wzięcie udziału w wyborach. Wymagano tylko polskich dokumentów. Było parę osób z paszportami, wystawionymi przez władze polskie na uchodźstwie i miały szczęście, że dokumenty wystawione były przed rokiem 1945. Paszporty, wystawione po roku 1945 honorowane nie były, ponieważ nie uwzględniono dokumentów rządu polskiego na uchodźstwie wydawanych po cofnięciu mu uznania dyplomatycznego przez Zachód.

Zdumiewa takie rozwiązanie, przyjęte w procedurze wyborczej, jak się bowiem ono odnosi do faktu, że niedawno rząd RP w Warszawie uznał i przyjął dorobek rządu RP na uchodźstwie, w całym okresie powojennym.

Przyszły osoby z paszportami wystawionymi przez rząd polski na uchodźstwie po roku 1945 i do tych pierwszych, wolnych wyborów nie zostały dopuszczone. Została im wyrządzona krzywda.

Wobec emigracji powojennej organizatorzy wyborów zastosowali jeszcze jeden, nieczysty manewr. Na dzień przed głosowaniem komisja wyborcza została powiadomiona, że dopuszcza się do wyborów osoby, które podpiszą oświadczenie o następującej treści:

„ — nie nabyłem(am) obywatelstwa obcego przed 18 stycznia 1951 r.

— nie otrzymałem(am) zezwolenia władz polskich na zmianę obywatelstwa z polskiego na obywatelstwo obce”.

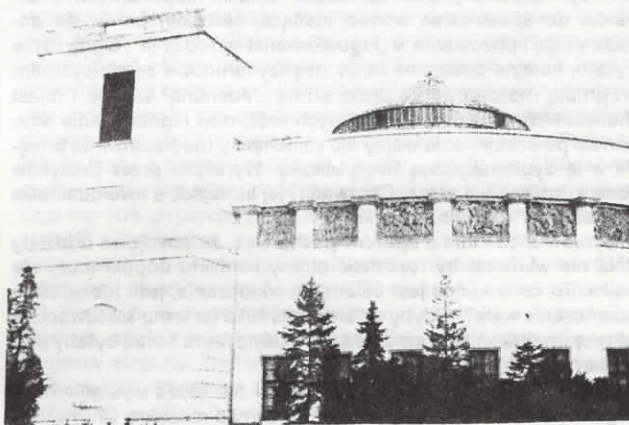
Możliwość ta dopuszczała do udziału w wyborach wiele osób żołnierskiej i politycznej emigracji, ale za późno. Na dzień przed głosowaniem nie zdążono tego nigdzie ogłosić. Nie głosowało więc wielu ludzi, którzy chcieli i mogli głosować. Zastrzeżenia moje wzbudziła też inna sprawa. Procedura obliczania głosów kazała nie brać pod uwagę tych kart głosowania do Sejmu, które będą nieczytane spinaczami. Jeżeli tak, to dlaczego znając wcześniej procedurę, organizatorzy wyborów dostarczyli nieświadomym wyborcom dużą ilość takich właśnie, nieczytanych kart głosowania? Komisja wyborcza na 200 przygotowanych kart wydała wyborcom, jak się potem okazało, 8 nieczytanych, choć kompletnych. Stanowi to 4% procent całości i te 4% głosów unieważniono przy ich obliczaniu. To naprawdę dużo. Ile było takich przypadków w skali całych wyborów? Jeszcze 1% oddanych głosów został także unieważniony, ponieważ 2 karty głosowania do Sejmu wyjęto z urny jako luźne kartki. Tylko w tym przypadku winny mógł być wyborca. Mógł on zszyć wyciągnąć, były po nich dziurki. Ale po co by w takim razie oddał prawidłowo głos, a zauważył że tak było. Dlatego nie można wykluczyć, że i te karty, nieczytane, wydane zostały przez komisję wyborczą. Dla głosowania na posłów, wyborcom wydano również kartkę „informacji o informacji”. Mimo, że obwieszczenia wyborcze oraz karty głosowania zawierały zestawy list wyborczych, wyborcom wręczany był dodatkowy „spis treści” karty do głosowania. W odróżnieniu jednak od obwieszczenia i samej karty, ten dodatkowy „informator”, zestawiał specjalnie w rubrykach po 3 kolejne po sobie listy wyborcze. Zastanawiałem się, po co to zrobiono i doszedłem do następującego wniosku. Przeciętnemu wyborcy, zdeorientowanemu w mnogości i charakterze umieszczonych na listach wyborczych partii i organizacji, wydana „informacja”, swoją formą, sugerowała podobieństwo ujętych w rubrykach ugrupowań, co było nieprawdą. Cóż ma bowiem wspólnego np. mniejszość niemiecka ze Stronnictwem Narodowym, Ruch Demokratyczno-Społeczny Zb. Bujaka z KPN-em, czy związki zawodowe policjantów z Wyborczą Akcją Katolicką? Do podobnego jak mój wniosek, doszły też inne osoby w komisji wyborczej. Zgodnie z procedurą, komisja musiała jednak wydawać głosującym oficjalny druk wyborczy.

Było charakterystyczne, że co drugi wyborca stwierdził, że nie ma rozeznania na kogo głosować i prosił o podanie mu jakichś

informacji o partiach i listach wyborczych. I w tej sytuacji, fałszywe skojarzenia mogła u niego wywoływać wręczona mu, wskazana powyżej dodatkowa karta informacyjna. Natomiast było zabronione, aby na terenie lokalu wyborczego, udostępniać wyborcom materiały informacyjne, przygotowane samodzielnie przez biorące udział w wyborach partie i organizacje. Było to zabronione pod pretekstem, że w lokalu wyborczym nie można już uprawiać kampanii wyborczej i że nie wszyscy przygotowali jakieś materiały, więc nie wolno udostępniać żadnych, aby nie być posądzonym o wyborczą stronniczość.

Nie zgadzam się z takim stanowiskiem i byłem wobec niego krytycznie nastawiony także inne osoby w komisji wyborczej. Rozumiem, że w lokalu wyborczym, nie można już uprawiać kampanii wyborczej, ale podciągnięcie pod to zwyczajnej informacji o osobach i organizacjach oraz o ich celach wyborczych, które taką informację przygotowały, uważałem za rzecz normalną i wręcz wskazaną, zwłaszcza w obecnej złożonej polskiej rzeczywistości. To były pierwsze od kilkudziesięciu lat wolne wybory, z udziałem wielu sił i środowisk. Część ma podobne nazwy, ale zupełnie odmienny charakter, a niektóre środowiska to zupełnie coś niepoważnego. Wiemy, kto najlepiej łowi w mętnej wodzie i komu zależy, żeby taką ona była. Dezorientacja ma miejsce w Kraju, a co dopiero na emigracji. Osobiście miałem ze sobą informacje chyba z dziesięciu ugrupowań, ale nie mogłem ich udostępnić wyborcom. Z tego co się orientuję, informatory wyborcze przygotowały ugrupowania przede wszystkim poważne i uchodzące za najbardziej porządne. Posiadałem dokumenty Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego i Wyborczej Akcji Katolickiej, Partii Wolności i KPN-u, Porozumienia Centrum, PPN-u, Koalicji Republikańskiej i Partii Chrześcijańskich Demokratów oraz samodzielnego kandydata, Wojciecha Ziemińskiego.

W powstałej sytuacji wiadomym było, że najczęściej głosować będzie się na osoby i organizacje najbardziej do tej pory znane i rozreklamowane, a także na te, których nazwy będą ludziom su-



gerowały, że mają one poparcie polskiego Kościoła. Wyniki wyborcze w San Francisco, jak i całonocowe, potwierdzają to. Uwzględnić jedynie trzeba jeszcze element, że było wiadomo, iż sporo głosów zyskają postkomuniści. Natomiast prawdziwa niespodzianką, jest sukces wyborczy KPN-u, przy jednoczesnym braku poparcia dla innych, zasłużonych w walce z komunizmem sił niepodległościowych, w tym zwłaszcza dla kandydatów Partii Wolności oraz „Solidarności”-80 i PPN-u. Dla owych ugrupowań fakt ten jest gorzką wskazówką. Muszą się one na nowo, bardziej skutecznie odnaleźć w obecnej rzeczywistości Polski. Sukces KPN-u jest sukcesem sił niepodległościowych i uświadamia mi fakt, że mógłby on być jeszcze większy, gdyby obóz niepodległościowy potrafił bardziej ze sobą współpracować. Kto wie, czy nie oddano by nań wówczas najwięcej głosów. Oby udało się to w następnych wyborach.

Wyniki wyborcze do Sejmu i Senatu uzyskane w San Francisco są już publicznie znane. Nie będę ich więc raz jeszcze podawał. Natomiast analiza tego głosowania, ukazuje, że:

- w głosowaniu na senatorów do Senatu, najwięcej głosów oddano na kandydatów tzw. solidarnościowego, aktualnie rządzącego obozu władzy: a więc, na Unię Demokratyczną, Porozumienie Centrum, Kongres Liberalno-Demokratyczny i na NSZZ

„Solidarność”. Ale równorzędną ilość głosów, oddano też na kandydatów Wyborczej Akcji Katolickiej oraz niewiele mniej na samodzielnie kandydującego działacza niepodległościowego, Wojciecha Ziemińskiego.

- w głosowaniu partyjnym na postów do Sejmu, największą ilość głosów oddano znowu na tzw. solidarnościowy obóz rządzący. Ale tuż za nimi uplasowała się KPN, a za nią Wyborcza Akcja Katolicka i Chrześcijańska Demokracja.

Unia Demokratyczna, która obok komunistów zdobyła w całych wyborach najwięcej głosów, jak wiemy w rzeczywistości jest także lewicowym, prosowieckim i mocno w Polsce skompromitowanym już ruchem politycznym panów Mazowieckiego, Kuronia i Geremka. Czy oznacza to, że w wyborach społeczeństwo polskie zmieniło zdanie? Na pewno nie. Okazało się jednak, że przy tak niskiej frekwencji wyborczej najbardziej zdyscyplinowanym elektorem wyborczy, dysponuje właśnie Unia Demokratyczna i postkomuniści. W domach pozostała milcząca większość rozgniewanych i rozczarowanych ludzi. Trzeba im ze wszelkich sił uświadomić, że obecnie nie jest to już mądre rozwiązanie polityczne, ponieważ wolne pole mają inni.

Wyniki wyborów pokazały dobitnie, że gdyby wzięto w nich udział trochę więcej porządných ludzi, zwycięstwo odniosły by siły

patriotyczne! Polska wyrwała by się wreszcie z dławiących ją kleszczy.

Na marginesie minionych wyborów mam jeszcze dwie refleksje:
- dlaczego w pierwszych wolnych wyborach utrzymano zwyczaj komunistyczny PRL, że cała emigracja mogła głosować tylko na jeden z dwu okręgów Warszawy, oraz;

- dlaczego wprowadzono utrudnienie dla emigracji, kiedy w wyborach na prezydenta nie trzeba było dokumentu, ale 2 świadków, potwierdzających obywatelstwo polskie.

Obecnie, mimo dużych zmian, polityczny pat w Polsce trwać będzie nadal, ponieważ siły patriotyczne nie osiągnęły jeszcze nawet połowy miejsc w parlamencie. Trzeba to rozstrzygnąć w następnych wyborach. Przypuszczam, że odbędą się one wcześniej aniżeli za 4 lata. Doprowadzi do nich dalszy upadek kraju, bo nie mam wątpliwości, że tak będzie, że tylko do tego prowadzą obecne, pokreślane „reformy”. Służą one wszystkim, tylko nie dobru Polski i polskiego narodu. Szansa, która się zarysowuje, zmarznąć nie możemy. Wyniki następnych wyborów, muszą być bardziej zgodne z dążeniami narodu.

Andrzej ROZPŁOCHOWSKI

Przedruk za 8/9 n-rem „Obserwatora politycznego” AFIP, USA

EUROPEJSKI TEST

Od miesięcy ostatni jawnie komunistyczny reżim w Europie prowadzi w samym jej środku brutalną wojnę. Rzecz jasna - brutalna jest każda wojna, ale tej w Jugosławii nadano nacjonalistyczny sztafeta, a połączenie komunizmu z nacjonalizmem to najgorsza z mieszanek.

Naród chorwacki ma prawo do wolności. Tej prawdy otwarcie nikt nie kwestionuje, formalnie zaś mieli odwagę to potwierdzić jedynie Niemcy. Najpierw jednak usiłowano zmusić niepokornych Chorwatów do spasowania wobec rosnącej serbskiej presji, do dogadania się i pozostania w „jugosłowiańskiej rodzinie”, a gdy to nie wyszło, kolejne pokojowe misje międzynarodowe ze stoicyzmem przyjmują masakrowanie przez armię „federalną” wiosek i miast chorwackich. Kilkanaście zerwanych rozejmów i ignorowanie wezwań do powstrzymania wojny nie zniechęciły mediatorów do brnięcia w tę dyplomatyczną ślepą uliczkę. Wyrażane przez polityków obawy dotyczą nie samej Chorwacji i jej ludności, a ewentualności „rozłania się” wojny na inne kraje.

Cyrus Vance i inni z uporem powtarzają, że pokojowe oddziały ONZ nie wkroczą, by rozdzielić strony konfliktu dopóki toczy się walka. To co w końcu jest celem ich wkroczenia, jeśli nie właśnie zakończenie walki? Gdyby czterdzieści kilka lat temu stosowano tę taktykę apelowania do agresora, do dziś np. cała Korea byłaby pod rządami Kim Ir Sena!

Faktycznie Europa i świat nie uczynił nic (poza wystaniem do Jugosławii kilku biurokratów), by wstrzymać masakrę Chorwacji -

nie zerwano z Belgradem nawet stosunków dyplomatycznych czy handlowych, a gdy przed uznaniem suwerenności Zagrzebia przestregł sam sekretarz generalny ONZ de Quellar, nikt nie dostrzegł w tym nic dziwnego! Ze spokojem przyjmuje się celowe i systematyczne ostrzeliwanie przez serbską artylerię szpitali i kościołów. Milczeniem kwituje się przesiedlenia ludności serbskiej na okupowane terytoria chorwackie (szulerskie przygotowania belgradzkiego rządu do przewidywanego referendum). Do obu stron - demokratycznej, napadniętej, rozpaczliwie broniącej się Chorwacji i komunistycznego agresora zwracano się z równoczesnymi apelami o przerwanie walki, ignorując zasadę uznawaną w starożytności, że napadnięty ma prawo do obrony.

Wojna w Jugosławii (nazwy tej używam jako określenia geograficznego) stanowi test politycznej skuteczności zjednoczonej Europy w sytuacjach kryzysowych, test sprawności jej instytucji i uczciwości polityków. Słowem, które ciśnie się na usta, słowem padającym z ust nielicznych komentatorów oceniających wynik owego testu, jest HANBA. Hańba Europy.

Okazuje się, że można w środku Europy u progu XXI wieku prowadzić wojnę, mordować ludzi, w pogardzie mieć prawa i obyczaje - dopóki nie narusza się materialnych interesów „cywilizowanego świata” Chorwacja? Prawa? Wolność? A kogo dziś to wszystko obchodzi?

Romuald LAZAROWICZ

SPOTKANIE Z UNIĄ

16 grudnia ub.r., po południu w czytelni Zespołu Szkół Elektroenergetycznych we Wrocławiu odbyło się spotkanie z panem reprezentującym Unię Demokratyczną. Wzięło w nim udział kilka klas III Wydziału Wieczorowego.

Bohater spotkania nie przedstawił się z nazwiska. Mimo, że sam nie jest, jak powiedział, politykiem, a do Unii trafił przez przypadek, energicznie agitował uczestników do wstępowania w szeregi tzw. „Młodej Unii”. Każdy - twierdził - może się tam wykazać, a koledzy postawie mogą sporo pomóc. Tylko Unia bowiem przedstawia się w Sejmie, a nie np. „cynicy z KPN-u”, którzy „już przegrali w oczach świata i na arenie politycznej”.

Odbyło się coś w rodzaju konferencji, podczas której pan anonim mówił dużo i od rzeczy. Podzielił się ze słuchaczami swoją niechęcią do głośno reklamowanych batoników „Mars” i stwierdził, że nie ustępują im polskie batoniki, a tylko ich opakowania są gorsze.

Pod koniec spotkania wywiązała się dialog, którego fragmenty przytaczam:

- Dlaczego Mazowiecki po dojściu do władzy nie przedstawił Sejmowi raportu o stanie państwa i pozwolił „komuchom” ukraść to, co było jeszcze możliwe?

Brak odpowiedzi.

- Dlaczego Frasyniuk ułatwił byłemu wojewodzie Owczarkowi przywłaszczenie willi przy ul. Sudeckiej 122?

- Jedna willa i tak nie robi różnicy, miasto by i tak na niej nic nie zyskało, a teraz Owczarek i tak dogorywa.

- Dlaczego Frasyniuk forsował kandydaturę Muszyńskiego na stanowisko wojewody?

- Pan Muszyński to dobry biznesmen i tak sobie zawsze poradzi.

- Za czyje pieniądze Frasyniuk prowadzi handel zachodnimi samochodami przy ul. Ruskiej?

- Każdy może robić to samo, to jest proste.

- Skąd Frasyniuk wziął pieniądze na swoją willę?

- Widziałem tę willę, bo jesteśmy kolegami, i ona jest cała wilgotna.

(B.T.)

PROŚBA DO POLAKÓW W AMERYCE

W czasie I-szej wizyty Jana Pawła II w Kraju nie było widać komunistów. Władze PRL z firanek swych gabinetów przyglądały się narodowi, który nagle poczuł się u siebie. Ludzi wierzących, podłych i szlachetnych, słabych charakterem i mocnych, tych którzy cierpieli od reżimu i tych, którzy mu się występowali zjednoczyła nadzieja na niepodległość. Kościół w ich oczach był jedną niezależną od komunizmu siłą. Polak stanął na jego czele. On otworzył oczy możnym tego świata na zakłamaną przez komunizm prawdę!

Ta sama nadzieja przyświecała wszystkim, którzy w rok później w najlepszej wierze opowiedzieli się za NSZZ „Solidarność” biorąc los Polski w swoje ręce.

Wtedy religia była religią, prawda - prawdą, Polak Polakowi - bratem, a komunizm czyli kłamstwo - wrogiem.

Żądania gdańskich robotników, wyrazieli woli ogółu Polaków, formułował Andrzej Gwiazda. Wszyscy w Kraju i za granicą to widzieli, więc dlaczego dziś, w rzekomo wolnej Polsce, kiedy ogół narodu wymiotuje Solidarnością w wydaniu Wałęsy, nie mamy prawa wiedzieć, co na temat polityki RP, która wyjechała do władzy na tym ruchu, ma do powiedzenia tak popularny wówczas Andrzej Gwiazda. Także Kornel Morawiecki, który w proteście zakłamaną po stanie wojennym „Solidarność” założył własną bezkompromisową wobec komunizmu partię. Albo - dobrze zorientowany w ekonomii RP - Stanisław Tymiański?

Dlaczego tych wszystkich, którzy ostatnio głosowali na inne partie niż Unia Demokratyczna, Wyborcza Akcja Katolicka, Porozumienie Centrum, KPN Moczulskiego i kilka jeszcze innych odłamów oficjalnego nurtu, nazywa się komunistami?

Czy większość, która w ogóle zignorowała ostatnie wybory, to ludzie zsowietyzowani, jak określa to ks. Tishner, czy też wręcz odwrotnie - zdrowa część narodu, która przeciwstawiając się kłamstwu RP wyraża pogrzebaną wraz z ks. Popiełuszką prawdę z okresu 1-szej pielgrzymki Papieża i Solidarności 80 roku?

„Nowy Dziennik”, jak zawsze, stawia całą rzecz na głowie. Bo „Nowy Dziennik”, cała prasa polonijna, tak samo jak KPA, wszystkie organizacje polskie i placówki rządu RP forsują wypaczoną ideę niepodległości, która swej marionetce Wałęsie wkłada w usta następujące słowa: „Europa bezpieczna to jedna Europa, jako struktura KBWE oraz Europa kontynentalna. Polska uczyni co w jej mocy, aby przyczynić się do budowania takiej Europy. (...) Trwałe rozwiązanie sprawy pokoju i bezpieczeństwa na naszym kontynencie nie jest możliwe bez ZSRR”.

Wałęsa powiedział to w lipcu br. w Kwaterze Głównej NATO.

Powiedział nie w imieniu narodu, który pragnie oderwania się od Moskwy i własnej, rządzącej się prawem Polski w obecnych granicach, lecz w imieniu zdrajców-uzurpatorów, którzy od utraty naszej niepodległości przywłaszczyli sobie prawo do występowania w imieniu narodu na arenie

międzynarodowej, urządzając wspólnie z Sowietami, jeden organizm środkowo-wschodniej Europy w oparciu o Rosję i zdominowanie świata ideą trzeciej drogi, która nie byłaby ani komunizmem ani kapitalizmem.

Sowietyzm, jak wiadomo, wyklucza otwartość życia politycznego. Można to stwierdzić na przykładzie polskiej etniczności w wolnym świecie, która - choć jedna z najliczniejszych - z powodu narzucenia jej zamaskowanego Kościołem reżimu zdrajców - uzurpatorów, nie była w stanie stworzyć liczącej się tu diaspory.

Dogadywanie się zdrajców z Sowietami wykrepało dzisiejszą, zasadzającą się na kłamstwie RP, którą za swoją cenzurę: zło, oportuniści lub naiwni i łatwowierni. Każdy uczciwy i rozsądny człowiek wie, że na kłamstwie niczego trwałego zbudować nie można. A tutaj mamy ścisłą cenzurę na użytek wewnętrzny, aby ci którzy mają się lepiej nie znali nędzy i upokorzenia ogółu dźwigającego ciężar tzw. reform i chamską propagandę sukcesu na użytek zagranicy.

Uważam, że istnieje ścisły związek pomiędzy kłamstwem opanowującym Amerykę od wewnątrz, z którym walczą tutejsi patrioci (np. Oliver North) a kłamstwem postkomunizmu, któremu większość w Polsce wypowiedziała dziś posłuszeństwo.

Krytykujący Busha Amerykanie zarzucają mu nadmierne zajmowanie się polityką globalną kosztem spraw własnego kraju. Nie zdają sobie zupełnie sprawy z tego, że Ameryka aby istnieć musi prowadzić politykę globalną, a cała bieda w tym, że to polityka z gruntu zła. Dwaj ostatni prezydenci, na przekór korzeniom z których się wywodzą, zaakceptowali perfidniej od komunizmu zakłamaną postkomunizm sowieckiego bloku, tak jakby mieli ochotę wypełnić przepowiednię Lenina, że wolny świat sam sobie założył pętlę na szyję.

Uważam, że niebłahy udział w kręceniu tej pętli, polegającej na zamydleniu pojęcia wolności, mają uzurpatorzy Sprawy Polskiej, których wyrazicielem przed rządem amerykańskim jest dwulicowy Zbigniew Brzeziński. Sądzę, że już w niedługim czasie Polacy w Kraju będą zdawać sobie sprawę z tego, że nie liczący się z wolą narodu postkomunizm jest tworem dwóch splecionych ze sobą reżimów. A mianowicie komunistycznego i emigracyjnego, który przez cały okres komunizmu w Polsce reprezentował „polską rację stanu” w Waszyngtonie, jednocześnie czyniąc z Polski pole doświadczalne dla przyszłych posunięć Kremla w całym sowieckim bloku łącznie z Rosją. Międzynarodowy Fundusz Walutowy jest tym, co ma zapewnić utrzymanie tego bloku w ryzach zjednoczenia i odpowiadającego Moskwie „Nowego Porządku Świata”. Niestety, cała ta obłuda ukryta się pod wizją chrześcijańskiego zbliżenia narodów i papieskiej troski o los biednych ludzi na świecie.

Niezależnie od bezpośrednich wystąpieńników Kremla, którzy otwarcie propagują ideologię komunistyczną w Ameryce, ich zwolennicy działają również pośrednio. Do-

prowadzają do hysterii obawę przed chorobą AIDS, zamieniają w absurdy ruchy feministyczne, walkę z rasizmem, sieją panikę w związku z zatruciem środowiska naturalnego i użyciem energii nuklearnej, walczą o prawa rzekomo prześladowanych homoseksualistów itp. Wszystko to rzekomo w trosce o naród, a w istocie po to, aby ten naród doprowadzić do stanu obezwładniającej go paniki.

W ten sposób działalność komunistów i tandem oficjalnej polskiej polityki z amerykańskimi liberałami, stara się z otwartości życia politycznego w wolnym świecie, uczynić ładunek wybuchowy rozsądzający Amerykę pod pretekstem „Ochrony Swobód Obywatelskich”.

W ciągle istniejącym narzuconym nam polskim monopolu informacji, każdy znający angielski powinien znaleźć drogę do prawdy poprzez indywidualne włączenie się w polityczne życie Ameryki.

Dlatego proponuję czytanie tygodnika „Conservative Chronicle” (tel. 1-800-888-3039), który reprezentuje najbardziej wartościową myśl republikańskich polityków, jak: Patrick Buchanan, George Will, Jeane Kirkpatrick, Rowland Evans & Robert Novak, William Buckley, James Kilpatrick i wielu innych.

Również gorąco polecam słuchanie programu radiowego RUSCH LIMBO - WABC - AM - 770 godz. 12-3 PM (New York). W innych miastach ameryk. należy szukać tego programu wg czasu N.Y. na fali średniej EIB Network - RUSCH LIMBO.

Interes Polski wymaga zajęcia identycznego stanowiska jak to, które zajmują patrioci amerykańscy wobec swego kraju. Sowietyzm obrzydza nam patriotyzm nazywając go nacjonalizmem. Tylko prawda może uratować Polskę.

Starajmy się, aby uczciwa Ameryka zrozumiała, że to samo kłamstwo, które pod pretekstem „Ochrony Swobód Obywatelskich” chce ukraść wolność Ameryce, zostało przez amerykańskiego prezydenta zaakceptowane jako najwyższe dobro dla krajów postkomunistycznych pod nazwą „Praw Człowieka”. Pojęcie to tak samo jak w Ameryce jest odwrócone. Rzeczywistość urąga prawdzie. Reformy w wydaniu Międzynarodowego Funduszu Walutowego wyzwalają zło i korupcję na międzynarodową skalę, pozbawiając ludzi podstawowych praw bytowych.

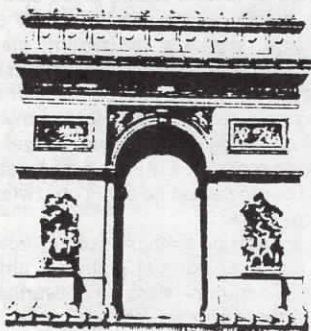
Nie ma innych praw człowieka tu, a innych tam. Wolność jest integralna i Ameryka nie będzie w stanie jej zachować, przyjmując inne jej znaczenie dla siebie, a inne - na użytek narodów postkomunistycznej części świata.

New York, 8.XI.91

Alina STARCZEWSKA - BYRSKA

Ostatnio publikowaliśmy artykuły Aliny Starczewskiej - Byrskiej w nr-ze 11(279) „Protest wobec prezydentury Wałęsy...” oraz 13(281) „Nie lewica, nie prawica, ale prawda lub oszustwo”

SĄ SPRAWY, ALE...



Koalicji ubywa. Najpierw odpadł Kongres, później KPN.

Do dymisji podał się premier Olszewski. Trudno mu się dziwić, po tym, jak prezydent stwierdził, że nie będzie z nim współpracować ale, czy dymisję tę przyjmie Sejm? A jeśli tak, to kto zostanie kolejnym premierem bez rządu?

Polsce po zapaści gospodarczej grozi zapaść polityczna. Niemożność utworzenia stabilnego rządu w oparciu o aktualny układ w parlamencie staje się oczywista. Kłopoty mają wszyscy. Przełamaniu izolacji w jakiej znalazła się UD nie służy wypowiedzi jej sejmowego lidera Bronisława Geremka, który w telewizyjnym programie „Sto pytań do...” określił swoich przeciwników politycznych sympatycznym mianem banda pięciu. Sama „piątka”, wewnątrz której od samego początku nie brakło opinii o pełnionej przez liberałów roli konia trojańskiego, wytrzymała tylko pierwsze sejmowe harce. Ciągłe przybywa polityków nie potrafiących zapanować nad swoimi urazami. Unia Demokratyczna jest obrażona na wszystkich i stan ten zapewne nie ulegnie zmianie. Może najmniej groźne są dąsy Moczulskiego. Coraz niebezpieczniejsza jest natomiast niechęć prezydenta do niektórych polityków, nad którą Wałęsa zdaje się nie panować. No i jeszcze te jego zadziwiające wolty. Zaledwie tydzień dzieli spotkanie prezydenta z komunistami, na którym zamierzał wraz z nimi budować lewą nogę polskiej demokracji, od pełnych gróźb i pohukiwań pod ich adresem wypowiedzi w słynnej stołwce Stoczni Gdańskiej, gdzie spotkał się ze swoimi byłymi kolegami. Wałęsa

narzekając na osamotnienie po raz kolejny zapowiedział swoją chęć puszczania w skarpetkach tych którzy kradli i gotowość np. w przypadku Bagsika udania się w tej sprawie do Izraela.

A propos rozliczeń. Tyle się o tym ostatnio mówi; afery, nadużycia, zagarnięcia mienia.

Są sprawy, ale czy są sprawcy? Otóż tak. Najczęściej okazują się nimi dziennikarze. Nastąpiła zadziwiająca zmiana ról. To nie sprawcy afer trafiają przed sądy, ale ci, którzy starali się je ujawnić. Rozzuchwaleni bezkarnością autorzy afer masowo oddają do sądów sprawy o zniesławienie. Niestety to nie żarty. Sądy i Prokuratury, w których niewiele się zmieniło, nie wykazują żadnej inicjatywy w tępieniu nadużyć. Dochodzi do takich absurdów, że oficera SB — zabójcę Bogdana Włosika pomimo wysokiego wyroku zwalnia się z aresztu. W Poznaniu nie można zmusić prokuratury do wszczęcia dochodzenia przeciwko byłemu przewodniczącemu Kolegium d/s Wykroczeń Benedyktowi Gajewskiemu, który taśmowo skazywał za działalność niezależną, lub, co było jego indywidualnym osiągnięciem, za zamiar takiego „przestępstwa” Prokuratura wykazuje się za to pomysłowością w innych sprawach.

Po tym, jak ośmieliłem się wystąpić przeciwko niektórym poznańskim sędziom i prokuratorom, spotykam się z działaniami jak za dobrych lat stanu wojennego. Umundurowani chłopcy w ramach wywiadu środowiskowego rozpytują sąsiadów, czy czasem nie nadużywam alkoholu, nie zakłócam spokoju lub czy nie biję żony. Ich starsi i wyżsi stopniem koledzy w cywilu przychodzą z prokuratorskim nakazem rewizji a nadzorujący to wszystko prokurator występuje o badania psychiatryczne.

Do takich działań miałem okazję się przyzwyczaić w czasach, o których wielu mówi, że bezpowrotnie odeszły. Szkoda, że tak nie jest naprawdę.

Maciej FRANKIEWICZ

UWAGI NA MARGINESIE

PREZYDENCKA ROZRÓBA

Prawie dwa miesiące - od momentu wolnych wyborów - trwa kryzys parlamentarny w naszym kraju. Rozdrobniony politycznie Sejm nie potrafił wyłonić większości zdolnej uformować Rząd. W ogromnej mierze odpowiedzialność za przebieg wypadków spada na Prezydenta. Rozbicie polityczne Sejmu stworzyło bowiem niepowtarzalną szansę przechwycenia przez Belweder większości władzy wykonawczej. Stąd te nagłe wolty i zmiany stanowiska Wałęsy. Stała się zasadą prezydenckiej gry jest popieranie słabszych przeciw silniejszym we własnym obozie, którzy mogą zagrozić pozycji Wałęsy. Wydaje się jednak, że w chwili obecnej misternie prowadzona gra przemieniła się w zwykłą rozróbę, w której nie liczy się dobro kraju, lecz partykularne interesy.

Już po czerwcowych wyborach 1989 r. misję utworzenia rządu Wałęsa zlecił nie środowisku solidarnościowej lewicy, lecz bliżej wtedy nikomu nieznanym braciom Kaczyńskim. Po zwycięskiej kampanii prezydenckiej, w której główną rolę odegrało Porozumienie Centrum stanowisko premiera Wałęsa powierzył Bieleckiemu z maleńkiej ówczesnej partyjki - KL-D. Zamiast obiecanego w kampanii wyborczej przyspieszenia i Rządu Przejściu mieliśmy - jak się okazało - rząd kontynuacji tego co było.

Po październikowych wyborach Wałęsa zainicjował wprawdzie powstanie „czwórki” /ZChN, PC, KPN i KLD/, lecz jednocześnie misję formułowania rządu powierzył B. Geremkowi. Misja Geremka zakończyła się niepowodzeniem. W międzyczasie już „piątka” /doszło PL/ stronnictw centroprawicowych odrzuciła sugestie Prezydenta i miast Bieleckiego na stanowisko premiera zaproponowała J. Olszewskiego. Osoba Jana Olszewskiego z wyraznie wyodrębnioną większością parlamentarną stanowiłaby zbyt duże zagrożenie dla władzy Wałęsy. Rozpoczęła się gra nerwów. Prezydent oskarżył braci Kaczyńskich o nieprawidłowe dysponowanie finansami Kancelarii i mianował do rozmów z „piątką” swego byłego... kierowcę. Jednakże sukces „piątki” w obsadzie prezydium Sejmu i

Senatu zmusił wreszcie Wałęsę do desygnowania Olszewskiego. Trwał jednak nadal bojkot premiera. Okazał się on skuteczny ponieważ z koalicji dało się wyłuskać Kongres Liberalno - Demokratyczny, a wyniku nieporozumień odeszła KPN. Demonstracyjnie okazywana niechęć Wałęsy przechyla szalę i Olszewski złożył rezygnację. Koalicja „trójki” a właściwie „dwójki” /PC i ZChN/ została tak osłabiona, że Wałęsa mógł dokonać kolejnej wolty. Prezydent oświadczył, że nigdy nie był niechętny Olszewskiemu, mówił tylko: „nie sprzeciwiałem się proponowanemu rządowi, powiedziałem tylko, że rząd jest nie do przyjęcia, ze względu na interes kraju” („Gazeta Wyborcza”).

Sejm porzucił wprawdzie dymisję premiera, lecz pozycja Olszewskiego na tyle osłabła, że premier zmuszony był przyjąć warunki Wałęsy. W rządzie zostaje K. Skubiszewski, pomimo że Premier wcześniej publicznie krytykował polską politykę graniczną, plan Balcerowicza będzie kontynuowany, zaś w MON-ie wszystko pozostanie po staremu. Deklaracje odejścia od ustaleń Okrągłego Stołu mają więc tylko charakter werbalny.

Zastanowić się jeszcze wypada, kto w tym konflikcie wygrał, a kto stracił. Zyskał na pewno Wałęsa, lecz uszczerbku doznał interes ogólny. Przede wszystkim uległa kompromitacji idea demokracji parlamentarnej. Rząd winien odzwierciedlać większość parlamentarną, a ta winna być odbiciem nastrojów politycznych społeczeństwa. Niestety rząd Olszewskiego nie wyłonił się - a mógł - w sposób jasny, przejrzysty i klarowny, lecz powstał w wyniku przetargów i manipulacji polityków, które są niejasne i niezrozumiałe dla postronnego obserwatora. Społeczeństwo, a przynajmniej jego świadoma politycznie część nie czuje i nie dostrzega, że rząd ten jest rezultatem ich własnego wyboru. Rząd ten postrzegany jest jako rząd gabinetowych pertraktacji i niejasnych umów. Żle to wróży pracy przyszłego Rządu i przyszłości całej demokracji parlamentarnej. Społeczeństwo może zbojkotować mechanizmy demokracji opartej na wyborach, jeżeli odkryje, że za jej pośrednictwem nie sensownego nie można zmienić, a rządząca klasa polityczna i tak w każdej sytuacji będzie w stanie preforsować swój punkt widzenia.

/K.B./

WIENIAWA - KABOTYN, BIRBANT, LITERAT cz. II

Ulubionym miejscem spotkań Wieniawy z elitą artystyczno-literacką Warszawy była kawiarnia „Ziemiańska”, gdzie uważano go za „swojego”. Był to „kawiarnio - klub”. Złoty wiek „Ziemiańskiej” przypadł na lata 1926-1932. W tym okresie kawiarnia ta była centralnym miejscem spotkań artystów, głównie literatów, plastyków, mających w niej zarezerwowane miejsca. Uwagę przyciągał jednak przede wszystkim „stolik na półpiętrze”, albo jak mówili o nim inni tzw. „górcie”. Skupiał on wąski krąg osób rekrutujących się spośród zaprzyjaźnionych ze skamandrytami, członków elity towarzysko-artystycznej i politycznej. Do stałych bywalców, obok skamandrytów, należeli: Wieniawa, Antoni Borman, Mieczysław Grydzewski, Franc Fiszer, Tadeusz Boy-Żeleński, Antoni Sobański, Juliusz Sakowski, Marian Hemar, Bruno Winawer, Wiliam Horzyca, obu Kramsztyków - malarz Roman i Józef Tumacz, obie siostry Kossak - Maria Pawlikowska i Magdalena Samozwaniec, Bela Gelpard, Irena Krzywicka, wydawcy - Marian Sztajnsberg i Ludwig Fiszer, Jan Parandowski oraz jego żona Irena, dwóch artystów grafików - Zdzisław Czernański i Feliks Topolski.

„Ziemiańska” miała na swych ścianach wykonane przez Jerzego Szwajcera, karykatury „swych znakomitości”, wśród których na poczesnym miejscu znajdował się wizerunek Wieniawy. Tam kształtowano sądy i orzekano, co jest sztuką, a co grafomanstwem, czy kiczem. „Tu bez głosowania zapadły wyroki młodych i starych autorów. Swoi mieli pewne fory” - pisał Jan Hoppe.

Do oceniających należał również bohater niniejszej pracy, który sam też „bawił” się piórem. O tym, że swoje piśmiotwo traktował poważnie świadczy m.in. fakt, iż w ankietach personalnych w rubryce „zawód cywilny” wpisywał czasami: „Literat”. Był autorem kilkunastu wierszy, wśród których najbardziej chyba znany, utrzymany w stylu wczesnego - skamandra pt. „Ułańska jesień”, stanowi wspinałą autocharakterystykę.

Wieniawa miał zagwarantowane stałe miejsce przy stoliku na „górcie”, którego „ekskluzywność” była powszechnie znana. Zdzisław Czernański wspominając „Ziemiańską” pisał, iż „stolik na półpiętrze” był „niedostępny” dla tych wszystkich jej bywalców, którzy nie byli związani ze Skamandrem. Dbał o to w sposób szczególny Lechoń, który na „półpiętrze” gospodarzył, terroryzując i wystraszać od stolika wszystkich niemiłych mu przysiadaczy”. Opisał, jak Wieniawa tłumaczył Lechoniowi, dlaczego ośmielił się wziąć z sobą na półpiętro pewnego wojewodę. „Człowiek z kresów - mówił Wieniawa - jechał całą noc. Był zmęczony. Wojewoda. Posadziłem go tutaj na chwilę. Jak odpocznie, to sobie pójdzie”.

W „Ziemiańskiej” nie tylko dyskutowano o sprawach dotyczących literatury, ale również zawzięcie dowcipkowano. „Wolne żarty - pisał Czernański - i na tym chyba polegała zмова, że tych kilku dowcipnych ludzi - Lechoń, Słonimski, Fiszer, Tuwim, Wieniawa i Józio Kramsztyk - żartowało sobie ze wszystkiego, z siebie samych i ze swoich żartów, a reszta zebranych w śmiechu im wtórowała”.

Pierwsze skrzypce grał Wieniawa. To przecież o nim w jeden z „Kronik Tygodniowych” na łamach „Wiadomości Literackich”, Słonimski napisał, iż „Bóg mu powierzył humor Polaków”. Jego dowcipy były ostre i często niecenzuralne, a w żartach nie oszczędzał nawet Marszałka. Kiedy w dniu 31 października 1929 roku w sejmie zamiast premiera Kazimierza Świątalskiego pojawił się Piłsudski, Wieniawa natychmiast „uczcił” to wydarzenie dowcipem mówiąc, iż posłowie nie spodziewali się, że Świątalskiemu takie wąsy urosną. Przedmiotem dowcipów Wieniawy byli nie tylko cywile, ale i wojskowi. Cytowany już Hoppe wspominał o pewnego dnia „Siedzi sobie pośród pięknych dam (...) pułkownik Wyżeł - Ścieżyński. Przechodzący obok Wieniawa zauważył go i woła: Pamiętaj Wyżeł, jak będziesz miał małe, to jedno dla mnie”.

Wieniawa był duszą towarzystwa w „Ziemiańskiej”. Będąc w jego otoczeniu, „było się w polu magnetycznym jego wdzięku, swady, polotu i humoru, jego niespożytej energii, jego ochoty do życia, głodu życia” - pisał Hemar. Dalej zaś stwierdzał: „Widziałem Wieniawę mnóstwo razy, o różnych, wszystkich porach dnia i nocy, w tak różnych towarzystwach, miejscach, sytuacjach - nie widziałem go nigdy zmęczonym. Pamiętam jego twarz, znałem ją na pamięć,

wszystkie miny, grymasy, sposępnienia i rozbłyśki tej twarzy - nie pamiętam, aby kiedykolwiek ziewnął”.

Nieszablony sposób bycia Wieniawy powodował, że na jego temat krążyło wiele anegdot. Jedną z nich informowała, jak to kiedyś prof. Olgierd Górka, nieznosny gaduła i nudziarz, w celach autoreklamowych „napadł” na Sienkiewicza. Wieniawa natychmiast udzielił na łamach „Polski Zbrojnej” wywiadu broniącego wielkiego pisarza. Był on utrzymywany w formie dysputy współpracownika tego pisma z Wieniawą, którego ostatnie słowa brzmiały: „Zresztą ma Pan nade mną wyższość, że Pan te artykuły Górki czytał, a ja nie”.

Inna z anegdot „opisywała” jak to kiedyś Wieniawa siedział przy suto zastawionym trunkami stole i opowiadał o jednym ze swych polowań w Spale.

„ - Wyobraźcie sobie, panowie - mówił - młody zagajnik, lekko rozświetlony dopiero co wstającym słońcem, i ją wychodzącą zza drzewa. Łanię. Staje, rozgląda się, ja w tym czasie się składam, mierzę i kładę ją od pierwszego strzału. Podchodzę bliżej, biorę za nogi i wciągam na siebie...”

- Przepraszam, panie pułkowniku, telefon z Belwederu - przerwał opowieść pikolak.

Wieniawa odszedł od stolika, ale po chwili wrócił.

- O czym to mówiliśmy?

- Opowiadał pan pułkownik, że złapał ją za nogi i wciągnął na siebie - podpowiedział ktoś szybko.

- Właśnie, a potem trzy dni z d... nie schodziłem. Taka była baba!

- dokończył opowieść Wieniawa.

W kawiarni „Europejskiej” po 13 września 1935 roku - głosiła kolejna z anegdot - gdy Polska pozbyła się opieki Ligi Narodów nad mniejszościami narodowymi, Wieniawa „kazał grać orkiestrze - a kto będzie twierdził, że się u nas źle mniejszościom dzieje, to niech popatrzy - zawołał wskazując na publiczność o mniejszościowym wyglądzie, spożywającą najdroższą w stolicy kawę, ciastka i wermuty”. O Wieniawie opowiadano nie tylko anegdoty, ale i dowcipy. To o nim - nieodpartym uwodzicielu kobiet - krążyło powiedzenie, że jest największym polskim patriotą, ponieważ stale śpiewał: „Jak zwyciężać mamy...młode i ładne. Radził sobie w tej materii nieźle, czego potwierdzeniem jest zapis w dzienniku Lechonia, który zanotował: „Słonimski o pewnym biednym rogowcu, któremu Wieniawa sprzątnął sprzed nosa kochankę - powiedział: co mu chodzi? Przecież Wieniawa to jest siła wyższa!”.

O specyficznym zachowaniu się Wieniawy wobec kobiet pisał m.in. Marian Romeyko, który w swoich wspomnieniach o nim, zanotował takie oto wydarzenie: „Zakopane, nocna zabawa w kawiarni Trzaski Wieniawa w świetnym humorze. Tańczy. Obok Wieniawy tańczy para, Żyd z przystojną Żydówką, bez głębszego namysłu poklepał tę panią. Oburzony partner: Panie generale! Ja na to nie pozwolę! To moja żona! Na to Wieniawa: Dobrze, idźmy na ugodę, poklepał pan moją żonę! Ona też jest Żydówką!”.

W sposób niekonwencjonalny zachował się także Wieniawa podczas jednej z zabaw pułkowych. „Po jakimś tańcu - wspominał Józef Kuropieska - w którym jego partnerką była młoda, wspaniale zbudowana dziewczyna, odziana zgodnie z ówczesną modą w bardzo krótką sukienkę, Wieniawa przykleił i pocałował - ku zaskoczeniu dziewczyny - jej odłonięte kolano. Dokonawszy tego, wygłosił dowcipne przemówienie na temat, że należało by chwalić Stwórcę w jego dziełach”.

Potrafił się też zachować w sposób zgoła odmienny. Otóż w kawiarni na balu literatów w Salonach Redutowych, ujrawszy zaczę Herminę Naglerową, zawołał: „Od Naglerowej, a niespodziewanej śmierci - zachowaj nas Panie!”.

Wieniawa mimo swojego nietypowego sposobu bycia był szalenie lubiany i popularny w Warszawie do tego stopnia, iż stało się to przedmiotem niezbyt pochlebnej dla Piłsudskiego anegdoty: „Pyta jedna pensjonarka drugą. Czy nie wiesz przypadkiem, kto jest ten starszy pan, który jeździ stale z Wieniawą?”.

To, że był tak znany, powodował jego niepowtarzalny styl.

Nawet ci, którzy denerwowali się wciąż na niego z powodu jego różnych wyskoków, to „po cichu, jeśli nie wielbili Wieniawy, to mieli

do niego słabość". Zapraszali go na zinstytucjonalizowane formy spotkań towarzysko-artystycznych, jak rozmaitego rodzaju imprezy typu „kawy”, „herbatki”, „poniedziałki”, „środy”, „soboty literackie”, „niedziele kameralne”, „bale i obiady literackie” itp. Uczestniczył w tzw. „łabardanach”, u pisarza Ferdynanda Goetla. Na jednym z takich przyjęć, które odbyło się 21 listopada 1931 roku w Warszawie na Pradze, wzięli m.in. udział: Wieniawa, Staff, Tuwim, Wierzyński, Jaroszewicz, Paradowski. Brał również udział w głośnych „zjazdach poetów” na które zapraszany był razem z Skamandrytami. Odbywały się one w ziemiańskich dworach, w Pawłowicach u Ludwika Hieronima Morstina oraz w Sikorzu u Elizy Piwnickiej.

Pisząc o kontaktach Wieniawy z literatami nie sposób pominąć jego udziału w spotkaniach z ludźmi pióra z innych krajów, którzy odwiedzali Polskę na zaproszenie Pen - Clubu. I tak np. w dniu 28 kwietnia 1927 roku przypadł mu zaszczyt stanąć na czele reprezentacji i Pułku Szwoleżerów, by wraz z prezesem polskiego Pen - Clubu Janem Lechoniem, powitać na dworcu warszawskim angielskiego pisarza i poetę Gilberta Chestertona. Wieniawa witając gościa uczynił to w sposób niezwykle zabawny mówiąc m.in. „Witając pana Chestertona, nie mogę powiedzieć, że jest on największym przyjacielem Polski, gdyż największym jego przyjacielem jest sam Pan Bóg”. Dalej zaś stwierdził: „Pozwalam sobie przywitać Pana w imieniu grupy oficerów kawalerii nie jako sławnego Anglika, nie jako sławnego pisarza, ani nawet wielkiego przyjaciela Polski. Witam Pana jako kawalerzystę, który się zatrzymał w rozwoju. Dla mężczyzny są właściwie dwa zawody: poety i kawalerzysty. Pan wybrał ten pierwszy, ale my widzimy pańską odwagę, entuzjazm, błyskotliwy humor, widzimy w panu wspaniałego kawalerzystę, straconego dla kawalerii - z pożytkiem dla ludzkości”.

Słowa powitania wypowiedziane przez Wieniawę zrobiły duże wrażenie na Chestertonie. Nic więc dziwnego, że po latach wspominając to wydarzenie napisał: „Ciekaw jestem, czy w całym brytyjskim Imperium znalazłby się choć jeden pułkownik kawalerii, który byłby zdolny zabłysnąć taką inteligencją i zdobyć się na takie przemówienie?” Z okazji tej wizyty Wieniawa wydał przyjęcie u siebie w domu, w pałacyku myśliwskim w Łazienkach, „mobilizując” na nie „wszystkich artystów” Warszawy „mówiących po angielsku”.

Bardzo często przebywanie Wieniawy z kolegami artystami, powodowało, iż stawał się z każdym dniem coraz bardziej sławny. Jego sylwetkę uwiecznili najlepsi polscy poeci. I tak np. Julian Tuwim poświęcił mu wiersz pt.: „Wieniawa”. Ukazał w nim swego wszechpotężnego przyjaciela, jako tego, o którego protekcję zabiegała cała Polska:

*„Co kilka dni się do mnie
Ktoś nowy z prośbą zgłasza,
Zaczyna arcy - skromnie
I bardzo mnie przeprasza:
„Pan mnie wysłuchać raczy,
O drobną chodzi sprawę,
Co to dla pana znaczy?
Pan przecież zna Wieniawę!
a wczoraj Inie wierzycie?
Pod chajrem! Bez przechwałek!
Przychodzi do mnie skrycie
Po prostu - sam Marszałek.
I prosi o dyskrecję,
Bo ma intymną sprawę,
A wierzy w mą protekcję:
„Pan przecież zna Wieniawę!”*

Bohater niniejszego artykułu, który był stałym bywalcem „łoz szycerów” w kawiarni „Ziemiańskiej”, przyjaźnił się z literatami doznocnie. Nie wyrzekł się znajomości z nimi, kiedy w określonej sytuacji politycznej w kraju, nie były takie kontakty najlepiej notowane. Przykładem niech będzie fakt, iż kiedy Władysław Broniewski czy Aleksander Wat siedzieli w więzieniu, Wieniawa przysłał im paczki z prowiantem. Wat wspominał, iż miało to miejsce na Wielkanoc 1932 roku, a „te prowianty to były dwie olbrzymie torby od Hirszfelda. Dwa litry wódki z białą główką, kawioru itd.”

Janina Broniewska wspominała, że Wieniawa przysiadł się w pełnej gali do stolika Broniewskiego w „Ziemiańskiej” nawet wtedy, gdy tamten był represjonowany przez władze swoje poglądy polityczne. Nie zerwał również swojej przyjaźni z Mieczysławem Grydzewskim - redaktorem naczelnym „Wiadomości Literackich” - gdy tenże podpisał się pod protestem brzeskim.

Opiekował się swoimi przyjaciółmi tak jak potrafił najlepiej.

Hemar opisał z satyryczną przesadą, ale zarazem autobiograficzną wiernością jedną z interwencji w zawsze drażliwej kwestii cenzorskich skreśleń, gdzie o pomoc zwracał się m.in. do „Błocia” - Bolesława Wieniawy - Długoszewskiego. Pisał:

*„Kto w tej chwili nie widział
Poety!... Ja, proszę pana,
Zadzwoń! Do Belwederu!
Na Foksal! Do Rajchmana!
Do Wołodia! Do Błocia!
Do Ignasia! Do Genia!
Pan jeszcze nie wie, panie,
Z kim pan ma do czynienia!*

Mieczysław Lepecki wspominał, iż w chwili kiedy Julian Tuwim napisał wiersz pt. „Do generatów” /zawarta w nim była krytyka wojska polskiego/ i wywołał w ten sposób wielkie „larum w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Nie brakowało gorliwych, którzy chcieli poetę nauczyć rozumu, ale podnieść rękę na Tuwima nie było łatwo nawet wówczas. Wszystko załagodził Wieniawa - Długoszowski”. On też czuwał również nad Lechoniem i innymi skamandrytami.

Na początku lat trzydziestych drogi Wieniawy i skamandrytów zaczęły się rozchodzić. Widać to doskonale na przykładzie artykułu autorstwa Wieniawy pt. „Massimiliano - pogromca balonów”, zamieszczonego w „Expresie Porannym” z dnia 15 listopada 1931 roku, w którym m.in. pisał: „Mam bliskich znajomych, czy też dalekich przyjaciół, którzy chronicznie żonglują pięknymi słowami, wspaniałymi ideałami, i jak płonącymi żagwiami rzucają świetnymi dowcipami, olśniewając na dalekiej prowincji (...) inteligentnych czytelników a zwłaszcza czytelniczki „Wiadomości Akufuszerskich”, słynnych z powodu fachowych artykułów socjalginekologa Boya, pisanych z cesarskim zaiste zacięciem. To jest jednak żonglowanie pozbawione znaczenia.

Dość mam zawodowej, a jakże niezręcznej żonglerki pseudopatriotyzmem, pobożnisiostwem, hasłami społecznymi, moralnymi, etycznymi, za którymi kryje się sobokstwo, warcholstwo czy partyjniactwo (...) Dentol! Guzik! Koniec! Basta! A la gare! Won!”.

Artykuł Wieniawy wywołał replikę ze strony Antoniego Słonimskiego na łamach „Wiadomości Literackich”, który w jednej ze swych „Kronik Tygodniowych” pisał: „Są i tacy, którym nic się prócz cyrku nie podoba [...] Pewien znany z urody pułkownik z peanem na cześć Massimiliano. Przy okazji ten piękny mężczyzna wyszydza mnie, „Wiadomości” i znowu przyczepia się do Boya. Że wojskowi są przeciwnikami kontroli przyrostu ludności i zapobiegania ciąży, to rzecz zrozumiała.

Pułkownik Massimiliano musi być sam żonglerem nie lada, skoro nie uznaje środków zapobiegawczych, powinien mieć już ze dwa pułki kawalerii własnego chowu. Trochę to jednak za cyniczne, takie pomiatanie tymi, którzy chcą zmniejszyć nędzę i cierpienia płodzącej się biedoty. Nie wiem, do kogo odnosi się krzyk Won!, który kończy ten nieco koszarowy wstęp artykułu pięknego pułkownika. Nie wiem nawet, z czyich ust, czy mówi do nas tłumacz Conrada i Boudelairea, człowiek wrażliwy, pełen kultury, wdzięku i dowcipu, czy też pierwszy lepszy kawalerzysta, którego sądy i okrzyki są nam zupełnie obojętne”.

Trudno dziś stwierdzić w sposób jednoznaczny co zadecydowało, że Wieniawa oddalił się od swych przyjaciół - skamandrytów.

Częściową odpowiedź na to pytanie znajdujemy w wierszu Mariana Hemara pt. „Pułkownik i poeci”, w którym ukazał on ewolucję stosunków Wieniawy ze skamandrytami.

*„Zbyt wiele różnych rzeczy
Za złe sobie brali:
Oni jemu - że pisze,
On im - że tacy śmiali.
Oni jemu - że rębacz,
On im - że artyści,
Oni mu - że generał,
On im - że pacyfiści.
On im - że nie ze spiżu
Oni jemu - że z gipsu,
On przeszedł do kasyna
A oni do Ipsu.”*

Podsumowując działalność Wieniawy na polu artystycznym należy stwierdzić, że ten z wykształcenia lekarz, był z powołania artystą - literatem. Pisał niewiele, ale nieliczne jego wiersze świadczą o piórze odbarzonym dowcipem i dobrą techniką pisarską.

Odegrał niebagatelną rolę w środowisku artystycznym Warszawy łącząc je z obozem rządzącym, rozładowując jednocześnie konflikt pomiędzy Belwederem a światem literackim. Nie była to rola łatwa. W związku z tym, Marian Hemar uważał, że Wieniawa już za życia zapracował sobie na nagrobek, na którym napis powinien brzmieć następująco:

*„Tempora mutantur
Et nos etiam mutantur,*

*Wiele przeżył awantur
Żelazny adiutant,
Dziś ma cichy, bez troski
Grób w Małej Ziemiańskiej:
Od Pana - Krzyż dziadkowski
Od Dziadka - Krzyż Pański”.*

Marek KOZŁOWSKI

MOJE OBSERWATORIUM WYBORCZE

I. Eksperyment własny.

Przez dwa tygodnie do dnia wyborów parlamentarnych (tylko na tyle pozwalały środki, jakie udało mi się zgromadzić) prowadziłem intensywną uliczną kampanię wyborczą na ulicach miast i miasteczek województwa wałbrzyskiego (Wałbrzych, Świdnica, Dzierżonów, Kłodzko, Strzegom, Świebodzice, Nowa Ruda, Ząbkowice Śląskie, Niemcza, Łądek Zdrój, Stupiec, Bielawa, Kamieniec Ząbkowicki). Kandydowałem do Sejmu z listy marginalnej „Partii Wolności” Kornela Morawieckiego. Moimi środkami były: odpowiednio udekorowana ciężarówka Magirus-Deutz, średniej mocy radio (tzw. „ghetto-blast”) z mikrofonem, który podsuwałem każdemu, kto tylko miał ochotę ze mną dyskutować. Do pomocy miałem około dziesięciosobową grupę krewnych i przyjaciół, którzy z pełnym poświęceniem pracowali razem ze mną (Nota bene, i jest to obserwacja nie bez znaczenia, nie było wśród nich żadnego współkandydata z tej samej listy!). Rozdaliśmy ze 30 tysięcy ulotek, z ręki do ręki, co oznacza, że fizycznie zetknąłem się z kilkunastoma tysiącami wyborców. Trzykrotnie, z kandydatami innych partii, uczestniczyłem w organizowanych publicznych spotkaniach, ale była to, praktycznie, strata czasu, bo w sumie w tych spotkaniach, łącznie z kandydatami (naliczyłem 15) i ich „sztabami” wzięło udział mniej niż 100 osób.

Ani mnie, ani tej, bez wątpienia oryginalnej jak na polskie warunki, kampanii wyborczej nie poświęcała wzmianki żadna prasa, nie wystąpiłem ani razu w telewizji, miałem tylko dwie kilkunastominutowe audycje radiowe. Nie stać mnie było na jakiegokolwiek plakaty. Wydatki i tak wyniosły ca. 15 mln zł, nie licząc naszej pracy i kosztów ciężarówki razem z jej właścicielem, ofiarnym i oddanym p. Tomaszem Susłowskim, rolnikiem z Wałbrzyskiego.

W efekcie, otrzymaliśmy nie całe 3% głosów i 12 miejsce wśród 21 kandydujących „partii” (okręg wałbrzyski był ośmiomandatowy).

Podkreślam tak oryginalność mojej kampanii wyborczej, gdyż wszystkie środki przekazywane wylewały a la longue krokiody tży, że kampanii wyborczej w ogóle nie widać, że żadni kandydaci do wyborów nie wychodzą, że kampania jest niemrawa, itp. itd. Kiedy jednak pojawił się na ulicach taki zawodnik jak ja, to „dziennikarze” woleli popatrzeć w inną stronę. Nie sądzę, żeby nasza działalność mogła przejść niezauważoną: zawsze stawaliśmy w najbardziej uczęszczanych miejscach, na rynkach, u wejść do urzędów miejskich itp. Żeby nas nie słyszeć, trzeba było wklepać zatyczki do uszu, żeby nie zobaczyć, trzeba było wykręcać szyję. Parokrotnie zresztą nasyłano na nas policję, dwukrotnie, na rynku w Wałbrzychu udało się nas zagłuszyć tamtejszej kwaterze głównej NSZZ „Solidarność”, która uruchomiła w tym celu potężne megafony (ale nie przyniosło to, niestety, mandatu tej potężnej organizacji związkowej).

Z powyższych względów trudno mi ocenić, na ile moja akcja wyborcza była wyjątkowa, być może gdzieś w Polsce działali inni, podobni mnie, pojedynczy harcownicy. Faktem pozostaje, że przemierzając wzdłuż i wszerz województwo wałbrzyskie, nie natknęliśmy się na ślady podobnych działań ze strony innych ugrupowań czy indywidualnych kandydatów. Ci inni prowadzili wojnę na plakaty oraz w radio i tv. Organizowali też spotkania wyborcze, na które nikt nie przychodził. Pomijam tu swoistą kampanię wyborczą prowadzoną w kościołach. Na rynku w Niemczycy działacze PC zarzucali nam „brak kultury” (no, może trochę mniej oględnie) i zakłócanie mszy św. (przypadkiem siedziba PC znajduje się tam obok kościoła), natomiast odpowiednio poinstruowani i zaopatrzeni w ulotki przez ministrantów wierni, ze wstrętem i z daleka omijali nasz „wóz bojowy”.

Cała nasza uliczna kampania to było jedno przejmujące spotkanie z frustracją, gniewem i agresją. Dostało mi się za wszystkich: za Wałęsę, za Mazowieckiego, za Bieleckiego, za Kościół, za Solidarność, za oddawanie majątków Kościołowi, za wyprzedawanie Polski Niemcom. Krzyczeli na mnie: „złodziej”, „taki sam złodziej jak inni, wszyscy jesteście złodziejami”, „chcesz się tylko dostać do koryta, a potem będziesz tak samo kradł jak wszyscy”. Nieustająca procesja ludzi, którzy podsuwali mi pod nos odcinki rent i zasiłków i pytali, jak mają żyć za 400, 500 czy 600 tys. zł.? Gwałtownie domagali się, bym im powiedział, gdzie mają szukać pracy? Nie interesowało ich, kim jestem, co czy kogo reprezentuję. Na rynku w Świebodzicach napadł na mnie jakiś krewki wyborca, z lekka pod dobrą datą, i zaczął mi wymyślać najgorszym publicznym słowem za Morawieckiego. Kiedy z zaciśniętymi pięściami rzucił się na mnie z ostatnią obelgą „ty...ty...siło spokoju!” (był to slogan wyborczy Tadeusza Mazowieckiego w kampanii prezydenckiej) zdałem sobie sprawę, że zachodzi tu „error in personae” i że biedny Kornel Morawiecki został pomyłony z dostojnym Przewodniczącym UD! „Ach, to chodzi o innego!” - zdziwił się niezmiernie, grzecznie przeprosił i uszedł bez szwanku.

Ponieważ w czasie tej peregrinacji nie spotkałem zwolenników ugrupowań, które odniosły „sukcesy” wyborcze (może poza KPN), więc wolno się domyślać, że moi przypadkowi rozmówcy tworzyli ten elektorat, który - przeważnie - zbojkotował wybory. Ta obserwacja jest zresztą zgodna z większością składanych na ulicy deklaracji: „nie pójdę, bo to nie ma żadnego sensu. Jeden złodziej zastąpi drugiego. To nic nie zmieni.” Towarzyszący mi przez cały czas młody Polak z Kanady zadał mi pytanie: „Jak to jest? W gazetach czytam sprawozdania z sondaży wyborczych, z których wynika, że Unia ma 70% poparcia, że PC ma 40% itp, a na ulicy tego wcale nie widać?”. Jest faktem, że na zwolenników Unii natknęliśmy się dopiero ostatniego dnia kampanii, na rynku w Kłodzku. Byli to licealiści, którzy pod okiem swojej nauczycielki rozdawali ulotki popierające UD. Pomijam tu incydentalne spotkanie, na rynku w Ząbkowicach Śląskich, postać Lityńskiego, którego udało mi się sprowokować do podjęcia rękawicy. Zrejęrował zresztą szybko twierdząc, że poziom dyskusji jest dla niego za niski. Ale „Zeitgeist” obowiązujący inteligentów polskich był taki: „Kto jest inteligentem - ten głosuje na Unię”.

II. Interpretacja (cudza), czyli bicie w cudze piersi.

Jak się wydaje, wyniki wyborów usatysfakcjonowały jedynie KPN i ugrupowania, które się określa jako „postkomunistyczne”. Tzw. „obóz solidarnościowy” przeżywa ciężkiego kaca, ale ponieważ w jego ręku znajduje się większość środków przekazu, on też nadaje ton komentarzom prasowym, radiowym i telewizyjnym.

W powodzi uczonych i błyskotliwych komentarzy można wyodrębnić następujące przyczyny opłakanego stanu rzeczy:

- fatalna ordynacja wyborcza,
- niedobry termin wyborów,
- „wojna na górze”, która podzieliła obóz Solidarności,
- społeczeństwo nieprzygotowane do demokracji,
- nadmierne oczekiwania ekonomiczne,
- złe rządy - fatalna polityka gospodarcza Balcerowicza.

Niewątpliwie, wszystkie te czynniki mają swój udział w zbojkotowaniu wyborów przez społeczeństwo. Wypreparowana ordynacja wyborcza stanowi całkowite kuriozum, choć moim zdaniem - ta, którą proponował Wałęsa, była jeszcze gorsza. Jej główną wadą było to, że wielomandatowość okręgów umożliwiła wyborcy identyfikację z jednym, wybieranym postem i zamiast na konkretnych

ludzi (kogo zresztą wybrać z anonimowej masy kilkuset, niekiedy, kandydatów na liście wyborczej?) zmusiła go do głosowania na jakieś dziwne osobopatriotowory, które udawały partie polityczne. Czy można bowiem uważać za partię polityczną UD, POC czy WAK? Zresztą przedstawiciele tych ugrupowań, przyciśnięci do muru, przyznawali, że nie są to partie polityczne, ale *sui generis* koalicje wyborcze. Termin wyborów o tyle był kiepski, że każdy dzień zwłoki przynosił dalszy zanik złudzeń i upadek autorytetu, czy też mitu Solidarności, Kościoła i całego obozu „Solidarnościowego”. Można więc przypuszczać, że gdyby wybory zostały ogłoszone na wiosnę, to porażka nie byłaby tak dotkliwa. Oczywiście, „wojna na górze” ma swoją cenę, trudno prowadzić wojny za darmo. Nie jestem jednak pewny, że konieczność trzeba było ją „ogłaszać”: obserwując kulturę i obyczaje jej głównych uczestników, wolno podejrzewać, że byłaby ona równie gorsząca nawet gdyby jej nie ogłoszono.

Argumenty powyższe są prośbą przerwania odpowiedzialności wewnątrz obozu „Solidarnościowego”. Dwa następne - nieprzygotowanie do demokracji i nadmierne oczekiwania ekonomiczne - to wskazywanie, jako na źródło kłopotów, niedojrzałego, zdeprawowanego przez komunizm, społeczeństwa. „Elity to mamy jeszcze nie najgorsze (*exempli gratia*: Wałęsa, Kuroń, Mazowiecki, Profesor Chrzanowski, Książd Profesor Tischner, a choćby i Pośłanka Ziółkowska...), ale społeczeństwo...!?” Gdyby w parlamencie zasiadali sami Sowieci i Męczennicy, też z takim społeczeństwem daleko by nie ujechali.” Tworzy się więc przekonanie, że aczkolwiek wynik wyborów jest nadzwyczaj nieprzyjemny, to jednak na pionierskiej drodze przechodzenia z totalitaryzmu do demokracji inny być po prostu nie mógł.

Argument ostatni, że społeczeństwo jest zniechęcone w wyniku błędnej, a nawet wręcz fatalnej polityki gospodarczej Balcerowicza, jest, oczywiście, z pełną satysfakcją podnoszony przez tzw. „post-komunistów” (Ponieważ, tak naprawdę, byłoby niestychanie trudno zdefiniować, kogo dzisiaj w Polsce należałoby zaliczyć do „post-komunistów”, a kogo nie - wyjaśniam, że mianem tym, obiegowo, określa się byłych członków PZPR, ZSL, i SD, jednakże wszystkich „dobrych postkomunistów”, tzn. tych, którzy opowiadają się po słusznej, a więc „naszej” stronie, automatycznie się z tego zbioru wyłącza). Tym niemniej, jak to można było wysłuchać z ust postów w ostatnich miesiącach obradowania Sejmu, albo z wypowiedzi w ramach kampanii wyborczej, polityki gospodarczej rządu nie bronił nikt, nawet sam... rząd? A taki np. ekonomista z obozu liberałów i PC jak Profesor Stefan Kurkowski, wypowiedział się ostatnio, *expressis verbis*, że polityka gospodarza Balcerowicza pozostawiła po sobie tylko „ruiny i zgłiszcz”. Trudno się więc dziwić, że pogląd, jakoby dwa lata rządów Solidarności przyniosły Polsce więcej szkód niż ponad cztery dekady rządów komunistycznych, coraz bardziej się upowszechnia i zatrzymał bardzo wielu wyborców w domu, albo skłonił do oddania głosu na Sojusz Lewicy Demokratycznej czy też byłych ZSL-owców, przebarbowanych dziś na mikołajczykowski PSL. Zastanawiająca jest tu tylko kompletna kłapa SD? Chyba jednak przedobrzył w powołaniu się na swój rodowód z 1937 roku, Orła w Koronie i Konstytucję 3 Maja, a może po prostu ilość wazeliny, którą smarowali po równo i lewicę i prawicę, wywoływała już wyłącznie odruchy wymiotne?

Tak czy inaczej, pogląd, że absencja wyborcza spowodowana była przestrzeganiem gospodarczych rządów Solidarności jak fatalnych i rujnujących kraj, jest jedynym z wyżej wymienionych, w którym opinia części elit politycznych pokrywa się z tym, z czym spotkaliśmy się w czasie naszych ulicznych spotkań z tzw. „elektoratami”.

III. O czym się nie pisze i nie mówi?

We wszystkich dyskusjach i komentarzach na temat rezultatów wyborów zastanawia całkowity brak jednego elementu: jaki wpływ na te ostatnie wybory miało, czy mogło mieć, doświadczenie poprzednich wyborów, jakich całą serię przeżyliśmy w ciągu ostatnich dwóch lat? Mam tu na myśli wybory: (1) parlamentarne z czerwca 89, (2) prezydenckie w Zgromadzeniu Narodowym z lipca 89, (3) Związkowe do władz w NSZZ „Solidarność”, (4) samorządowe w maju ub.r. i wreszcie, (5) wybory prezydenckie z listopada 90. Jaka lekcja demokracji została, przy okazji tych ogólnokrajowych akcji wyborczych, udzielona spragnionemu demokracji społeczeństwu? Czy ten długi szereg, wykonanych w bardzo krótkich odstępach czasu, kosztownych i spektakularnych eksperymentów z demokracją, mógł zachęcić lub zmobilizować społeczeństwo do wzięcia

udziału w kolejnym eksperymencie, na dodatek takim, którego autorzy od początku ostrzegali, że będzie to eksperyment nieudany, bo ordynacja wyborcza jest bardzo kiepska? Warto też zwrócić uwagę na fakt, że dominującym tonem komentarzy przedwyborczych był ton, który głosił, że ze względu na kiepską ordynację - nowowybrany Sejm będzie dużo gorszy od tego, który właśnie odchodzi. Trudno zrozumieć, jak takie dywagacje miały zmobilizować widzów czy słuchaczy do powszechnego i entuzjastycznego pójścia do urn?

Przyjrzyjmy się w retrospekcji, owym wyborczym eksperymentom.

(1)

Podejrzewam, że niewiele osób ma dzisiaj wątpliwości, co do tego, iż owe „pierwsze wolne i demokratyczne wybory” w czerwcu 1989 r., z demokracją nie wiele miały wspólnego, a były raczej wyborczą manipulacją, w wyniku której do Sejmu dostali się wyłącznie ci, których wybrano czy też wytypowano gdzie indziej. Nie chcę tutaj otwierać sporu czy owe „wybory” były czy nie historycznym zwycięstwem nad komunizmem i początkiem „rewolucji kopernikańskiej” (słowa: G. Buscha)? Interesuje mnie tutaj wyłącznie jeden aspekt: jaką „lekcją demokracji” były czerwcowe wybory parlamentarne i w jaki sposób przygotowywały społeczeństwo do kolejnych prób?

Uważam, że dla demokracji nie może być satysfakcją rezultat, że „ten mecz wygrali nasi”, że wynik wynosi, powiedzmy, 100:0. Z punktu widzenia procesu budowania demokracji nie może być obojętne, jakimi sposobami to zwycięstwo zostało odniesione? Niestety, trzeba stwierdzić, że nie była to lekcja budująca: wszyscy kandydaci niezależni, tzn. tacy, którzy ośmielili się wysunąć swoje kandydatury bez fotografii z Lechem Wałęsą, zostali ogłoszeni za zdrajców, kryptokomunistów i Bóg wie co jeszcze, a niektórzy krewcy duchowni osobiście zrywali plakaty niekoncesjonowanych kandydatów. Pewien wybitny wrocławski kaznodzieja wydał drukiem swoje kazanie wyborcze, w którym nauczał, iż człowiek, owszem, powinien się kierować sumieniem, ale tylko zdrowym, a zdrowe sumienie może mieć tylko ten, kto stosuje się do wskazań Wałęsy!

(2)

Po wyborach parlamentarnych wybierano w Zgromadzeniu Narodowym Prezydenta. Na oczach milionów telewizorów odegrano farsę wyborczą, której wynik był, od początku do końca, przesądzony i umówiony. Wiemy doskonale, że wybrańcy Solidarności i Wielkie Autorytety Moralne, wrzucili do urny dokładnie tyle nieważnych głosów, ile było potrzeba, aby Jaruzelski został wybrany. Natomiast cały Obywatelski Klub Parlamentarny odegrał komedię „oddania się” od tego wyboru.

Podkreślam: nie chodzi tu o to, czy w owym czasie możliwy był wybór kogoś innego, np. Wałęsę, jakie były „za” i „przeciw” owej manipulacji. Chodzi o to, że to była czysta manipulacja wyborcza, a jeśli się takich manipulacji dokonuje, to trzeba mieć świadomość, że przyjdzie za to zapłacić, bo nie znam nikogo, kto lubi, aby nim manipulowano.

(3)

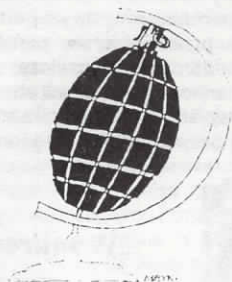
O ile jednak oba powyższe „wypadki” można próbować uprawdliwiać „warunkami bojowymi”, konfrontacją z „czerwonym”, koniecznością zwierania szeregów za wszelką cenę itp. to sprawa wyborów do władz Solidarności przedstawia się zupełnie inaczej i śmiem twierdzić, iż tamte wybory, sposób ich przeprowadzenia, są w pierwszym rzędzie odpowiedzialne za erozję procesu wprowadzania demokracji w Polsce. Związek, który za swoich sztandarach, w programie I Zjazdu i w statucie zapisał, że „fundamentem życia Związku jest demokracja” dał najgorszy przykład antydemokracji, manipulacji, eliminacji ludzi niewygodnych, którzy mieli zastrzeżenia do polityki aktualnych, w dodatku samozwańczych, liderów. Lech Wałęsa, z grupą doradców (warto może przypomnieć, że w owym czasie najbliższymi doradcami byli Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek), dokonał samowolnej zmiany statutu Związku, a na jego członków nałożony został obowiązek ponownej rejestracji i uznania tych zmian. Udział w wyborach mogli wziąć tylko ci, którzy ugięli się przed tym dyktatorem. Wyeliminowano w ten sposób skutecznie wszystkich czy prawie wszystkich przywódców związkowych, którzy nie zgadzali się z polityką Wałęsy.

Nastąpił rozłam w Związku, a 80% jego dawnych członków znalazło się poza nim. Solidarność, która na pozór objęła władzę w państwie, de facto poszła w rozsypkę, a pozostała tylko fasada i zawieszane sztandary.

Można dzisiaj nieomal z pewnością powiedzieć, że taki rozwój wydarzeń nie był ani przypadkowy, ani też nie był to „naturalny proces różnicowania się Związku po odniesionym zwycięstwie”. Jest rzeczą oczywistą, że Związek Solidarności, o takim stopniu niezależności, autentyczności i spontaniczności, jakie cechowały Solidarność sprzed stanu wojennego, byłaby poważną przeszkodą w zaplanowanym „procesie reform”. Został więc, z całą świadomością, podzielony i rozbity. Dzisiaj zresztą różni jego przywódcy sami przyznają się do współudziału w tej „popularyzacji” (np. Wałęsa ponad rok temu oświadczył: „to ja podzieliłem Solidarność”). Inni, jak np. Adam Michnik czy Bronisław Geremek, wołają odpowiedzialnością obarczać swoich dzisiejszych antagonistów. Oczywiście, ś.p. Stefan Kisielewski zawsze głosił, że związek zawodowy „Solidarność” jest i będzie przeszkodą na drodze do kapitalizmu, podobnie zresztą jak niezmiennie głoszą to liberałowie od Korwina-Mikkego i inni. Mieli i mają do tego prawo. Gorzej jest jednak, kiedy poglądy takie wyznają przywódcy związkowi, a na dodatek wprowadzają je w czyn. Wówczas noworodek o nazwie „demokracja” zostaje zaduszony własną pępowiną.

(4)

Po wyborach w Solidarności przyszedł natychmiast pośpieszny, nie przygotowane wybory samorządowe. Zmobilizowano, do ostatniego lotu, gwałtownie płowiejące sztandary Solidarności, wykorzystano środki państwa (i, nota bene, pomoc zagraniczną), aby



jeszcze raz zapewnić druzgocące zwycięstwo „obozowi Solidarności”. W efekcie, w wielu samorządach lokalnych, obóz ów dysponuje większością stuprocentową! Dzisiaj, z perspektywy półtora roku trudno nie podziwiać nierozumności tego zabiegu: komu potrzebny był tego rodzaju „sukces”? Czy nie można było pozwolić na autentyczny eksperyment z demokracją i pozwolić społeczności lokalnym, żeby wybrały się tak jak im wygodnie? Stało się inaczej. Nieprzygotowani, niekompetentni, ale za to spragnieni władzy i zaszczytów przedstawiciele odnowionej Solidarności, przyjęli sto procent władzy lokalnej, nie zdając sobie sprawy, że sto procent władzy to sto procent odpowiedzialności. Ostentacyjne manifestowana pseudojedność pęka teraz w obliczu problemów i konfliktów lokalnych, a odpowiedzialności za nieudolność, brak kompetencji - nie mówiąc już o aferach - podzielić nie ma z kim. Wszystkie pomyłki, błędy itp. lokalnych kacyków idą na konto „Solidarności”, a brak rzetelnej opozycji pozbawił nawet tych, którzy działają w najlepszej wierze, prostych sygnałów alarmowych. I tak kręci się ten circulus viciosus.

(5)

Ubiegłoroczne wybory prezydenckie to osobna historia, ale również swoista „lekcja demokracji” w wykonaniu jej głównych koryfeuszów. Póki rywalizacja toczyła się „między swymi”, to było jeszcze jako tako. Kiedy jednak pojawił się „obcy” w osobie Stanisława Tymińskiego, to wszelkie względy na jakiegokolwiek zasady poszły w ką. Casus Tymińskiego obnażył w całej pełni nicość moralną (ale, niestety, także intelektualną) naszych elit politycznych. Całymi godzinami wysiadali przed kamerami polityczni idole, aby widzom wmawiać, że Tymiński to psychopata, agent KGB i Kadhafiego, sadysta maltretujący żonę, zwykły przestępca kryminalny, narkoman, antysemita z żoną Żydówką itp. itd. Rekord, jak sądzę, należy tu do wykwintnego „dżentelmena”, byłego mini-

stra spraw wewnętrznych Krzysztofa Kozłowskiego: wykrył on najpierw, że Tymiński uzyskiwał w Libii, u Kadhafiego, wizy wjazdowe do Polski, a po wyborach przyznał, że to bzdura, za którą odpowiedzialny jest... wadliwy system komputerowy MSW! Jeśli do tego dodać, że wyborcy, którzy poparli Tymińskiego zostali urbi et orbi przedstawieni jako prymitywni, niewykształceni motłochy pokomunistyczny, wymagający leczenia psychiatrycznego to może nie należy się dziwić, że ten „motłoch” nie bardzo ma ochotę bawić się w gry wyborcze z tego rodzaju „dżentelmenami”? Istotnie bowiem nie jest to, że tego rodzaju poglądy były głoszone i rozpowszechniane: istotne jest, że były to poglądy i opinie obowiązujące w środkach masowego przekazu i to na zasadzie wyłączności.

Cały ten szereg zdarzeń wyborczych z ostatnich dwóch lat odbywał się na oczach i przy udziale całego społeczeństwa, a stosowane przy tych okazjach antydemokratyczne procedury, manipulacje i machinacje nie mogły pozostać bez wpływu na element do wyborów. Czyż nie jest więc zastanawiające że ten element został całkowicie pominięty milczeniem, a może nawet niezauważony?

Jestem przekonany, że to milczenie naszych elit politycznych posiada swoją wymowę. Nie ma tu bowiem nikogo na kogo można by zrzucić odpowiedzialność, samemu zachowując cnotę. Pozostaje pytanie: do ilu razy sztuka? Jak długo można bezkarnie hasać na polu publicznym, jak długo rozdzierać szaty nad powolnym procesem „demokratyzacji”, a machinacje i manipulacje wyborcze nieodmiennie przedstawiać jako kolejne zwycięskie etapy przechodzenia od komunizmu do demokracji?

Gdzie są kraje demokratyczne, w których funkcjonują podobnie kuriozalne, odpersonifikowane ordynacje wyborcze? W jakim kraju demokratycznym wprowadza się poprawki do konstytucji, aby odebrać bierne prawo wyborcze jednemu człowiekowi? (Przy okazji: we Wrocławiu uzyskał mandat poselski dżentelmenem, który był na tyle małoduszny i krótkowzroczny, że jeszcze w roku 1986, a więc wtedy gdy w niewinności swojej dobiegaliśmy ostatecznie komunizm, zdecydował się na emigrację, aby powrócić do kraju już po epokowym zwycięstwie! I nie przeszkadzało mu to, ani w kandydowaniu, ani w uzyskaniu mandatu). Kiedy, mimo wszystko, można się było zasadnie spodziewać, że Partia X i tak ma szansę stworzenia poważnego zagrożenia, wtedy dopuszczono się rzeczy niesłychanej: unieważniono ogłoszoną już wcześniej rejestrację! Obawiam się, że niewielu jest w Polsce ludzi, którzy wierzą, że wszystko tu odbyło się zgodnie z prawem i jest w porządku. I nie bez racji: warto zwrócić uwagę, że Partia X uzyskała mandaty w trzech, spośród czterech, okręgach, w których pozwolono jej kandydować, łatwo więc wyobrazić sobie, co by się działo w obecnej sytuacji, gdyby kilkadziesiąt mandatów było dziś w posiadaniu „X”, zamiast... no właśnie, zamiast kogo? Myślę, że to właśnie groza tej perspektywy zmusiła naszych obrońców demokracji do tak surowego potraktowania Partii X i być może powinniśmy być im wdzięczni, ludzie jednak nie przepadają za tym, żeby ich traktować jak małe, nierozumne dzieci, nawet jeśli na to zasługują!

Tekst powyższy jest oskarżeniem polskich elit.

Oczywiście, elity mamy takie jak mamy i nie ma skąd wziąć innych. Są to w istocie te same elity, które służyły, z zapałem czy bez, upadłemu systemowi i nie ma większego znaczenia to, że dołączyły do nich dziesiątki osób z „nowego zaciągu”. Jeśli jednak elity te na serio chcą być elitami nowego, demokratycznego społeczeństwa, to muszą zacząć intensywną edukację... od siebie! Muszą zrozumieć, że cel naprawdę nie uświęca środków, a więc że nie da się zbudować demokracji metodami antydemokratycznymi. Muszą zrozumieć, że demokracja to nie tylko kartka wyborcza z ilomaś tam nazwiskami, nawet jeśli się przestrzega procedury co do joty! Aby można było mówić o rządach większości, to ta większość musi mieć przede wszystkim głos i być właściwie reprezentowana!

Wybory, któreśmy właśnie przeżyli, pokazały, że mamy nadal do czynienia z milczącą większością. Ta większość zablokowała wybory. Mniejszość, która na wybory poszła, jak się okazało, jest politycznie zdezorientowana. Jeśli nie ma dzisiaj w Polsce wystarczającej liczby ludzi inteligentnych i wykształconych, którzy posiadają sumienie i odwagę spoglądania w lustro, to nie ma farby wystarczająco czarnej, którą należałoby malować naszą przyszłość.

Jerzy PRZYSTAWA

redukcja długów polskich - czyżby afera wszechczasów

UWAGI O OBECNEJ SYTUACJI GOSPODARCZEJ W POLSCE

- zagrożenie niezawisłości państwowej

Rok temu paryski „Kontakt” opublikował mój artykuł pt. „U progu wielkiej depresji?”¹ Z perspektywy upływu czasu widać, niestety, że znak zapytania umieszczony na końcu tytułu był zbędny. Zostało to właśnie oficjalnie potwierdzone przez kandydata na prezesa Narodowego Banku Polskiego, p. Marka Dąbrowskiego, który podczas przesłuchania w sejmowej Komisji Budżetu stwierdził: „Nie jestem zwolennikiem poluzowania polityki monetarnej. Nie ma szans na szybkie przełamanie recesji i lepiej otwarcie powiedzieć o tym społeczeństwu”.

Kryzys trwa i trwać będzie, jak uprzejmie informuje nas jeden ze współautorów tej gospodarczej katastrofy, toteż nie dysponuje jeszcze ostatecznymi danymi na temat zapaści ekonomicznej w Polsce, mającej miejsce od momentu wprowadzenia w życie programu Balcerowicza. Jednak już dziś można postawić tezę, że pod wieloma względami obecna klęska ekonomiczna nie ma w sobie równych w powojennej historii Polski. Jest już pewne, że w zakresie spadku stopy życiowej i produkcji przemysłowej rezultaty ostatnich dwóch lat będą gorsze od okresu 1979-82.

Przypomnę, że w latach 1980-82 realna stopa życiowa, mierzona ogólnym spożyciem przez ludność dóbr materialnych i usług niematerialnych spadła o ok. 15%², podczas gdy tylko w zeszłym roku spadek stopy życiowej wg oficjalnych danych wyniósł 25%. W okresie 1980 - 82 globalna produkcja przemysłowa spadła o 13%, tylko w ubiegłym roku o jedną trzecią. W latach 1978 - 82 dochód narodowy spadł o 24%, w roku ubiegłym o 18% i spada nadal. Zeszlóroczny spadek dochodu nadwednego nie przekroczył spadku z lat 1980 - 82 tylko dlatego, iż wzrosła produkcja rolnicza. W latach 1978 - 82 produkcja rolnicza spadła o 11%. Tak więc rolnictwo jest tym elementem, który obecnie ratuje sytuację ekonomiczną.

Lata 1980 - 82 to okres bezpardonowej walki politycznej komunistycznej władzy z narodem, walki która przybrała charakter otwartej wojny ze społeczeństwem. Był to okres, w którym celowe pogorszenie sytuacji gospodarczej było naczelnym celem komunistycznej klikki, lecz mimo to upadek ekonomiczny nie był tak wielki. Innymi słowy, komuniści byli tak niezdarni, że ich celowe działania przyniosły mniej szkody, niż obecne „reformy”.

W czasie bitwy o Anglię ukuto powiedzenie, że „nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak niewiele”. Dziś dokładnie to samo możemy powiedzieć o ekipie Balcerowicza, tyle dziś pod określeniem „wiele” kryje się nędza i ubóstwo, nie wolność.

W zakończeniu wspomnianego powyżej artykułu napisałem, że: „Polityka gospodarcza ostatnich miesięcy doprowadziła kraj do głębokiego kryzysu i stan ten może ulec dalszemu pogorszeniu. Nakazem chwili jest podjęcie autentycznych kroków prorynkowych: wymiana kadr zarządzających, uwolnienie płac, stworzenie nowoczesnego systemu bankowego i rynku papierów wartościowych, konwersja zadłużenia zagranicznego na udziały w przedsiębiorstwach krajowych, obniżenie podatków. Ciężar wychodzenia z kryzysu musi zostać zdjęty z barków szarego obywatela poprzez podjęcie poważnych kroków oszczędnościowych w administracji państwowej, wojsku i policji”.

Żadne z wymienionych kroków nie zostały podjęte i, zgodnie z moimi przewidywaniami, sytuacja gospodarcza uległa dalszemu pogorszeniu. Co więcej, okazało się, iż nieudolność naszego systemu bankowego bije wszelkie rekordy.

System bankowy spełnia w gospodarce te same role, co serce i układ krwionośny w organizmie ludzkim. Odżywia całą ekonomię. Bez kredytu nie jest możliwa żadna poważniejsza działalność gospodarcza. Jeśli poniższa analiza potwierdzi się w praktyce, to Polska stoi w obliczu kompletnej zapaści ekonomicznej.

Afera firmy Art - B, która osiągnęła kolosalne zyski z uzyskiwania podwójnego oprocentowania (przypomnę, iż przedsiębiorstwo to deponowało czek w jednym banku, zaś rozliczenie tego czeku trwało ok. dwóch tygodni, w którym to czasie bank w którym

zdeponowano czek naliczał odsetki, choć jeszcze nie wpłynęły doń pieniądze! Podobnie czynił i bank w którym było zarejestrowane konto na które wystawiono czek, tak że oprocentowanie naliczono jednocześnie w dwóch bankach) uwydatniła zarówno kompletną ignorancję rodzimych bankowców, (bo przecież każda kasjerka w USA wie, że na rozliczenie czeku trzeba paru dni, w którym to okresie depozytariusz nie tylko, że nie uzyskuje procentów, ale i nie może dysponować kwotą zdeponowaną przy pomocy czeku), jak i korupcję na najwyższych szczeblach władzy bankowej. Wszak cała afera była wykryta już w styczniu br., a została ujawniona dopiero, gdy urzędnik który ją wykrył został wyrzucony z pracy i ogłosił całą rzecz w prasie.

Polskie przepisy bankowe są całkowicie anachroniczne i wymagają natychmiastowej nowelizacji. Jest to jednak tylko warunek wstępny i to bynajmniej nie decydujący o uzdrowieniu tej najważniejszej dziedziny życia gospodarczego. Decydująca będzie praktyka, a tę nabyć jest trudno i wymaga to czasu. Dziś praktycznie nikt w Polsce nie wie jak szacować ryzyko bankowe, czyli szansę, iż pożyczkobiorca nie będzie w stanie spłacić swej należności. Mimo to banki udzielały kolosalnych pożyczek przedsiębiorstw państwowym. We wspomnianym powyżej artykule nadmieniałem, że liczne bankructwa przedsiębiorstw państwowych, do czego zmierza polityka gospodarcza Balcerowicza, doprowadziła do załamania się systemu bankowego. W chwili obecnej, wg. szacunków oficjalnych, ok. 10% wszystkich firm utraciła zdolność kredytową, a dalszych 20% jest nią bezpośrednio zagrożonych. Oznacza to, że



Kazimierz Dadak

**„W zakresie spadku
stopy życiowej i
produkcji przemysłowej
rezultaty ostatnich
dwóch lat będą gorsze
od okresu 1979-1982”**

co trzecie przedsiębiorstwo jest bankrutem, lub na skraju bankructwa. Gdy ogłoszą upadłość kolosy w rodzaju „Ursusa” lub Starachowice, to nieuchronnie zawalą się banki które udzielały im pożyczek.

W USA uważa się, że jeśli 2% wartości pożyczek nie daje przychodu w postaci spłaty odsetek i rat kapitałowych to jest to poważny sygnał, że dana instytucja osiągnęła granice której nie należy przekraczać. Jeśli ten udział wzrośnie do ok. 5%, to jest już z takim bankiem b. źle, gdy ok. 10% pożyczek jest, jak to się tu określa, *nonperforming* to taka instytucja jest pewnym bankrutem. Np. rok 1987 był czarnym rokiem dla instytucji finansowych Teksasu, Luizjany i Oklahomy. Przeciętny udział pożyczek *nonperforming* w stosunku do wszystkich pożyczek wyniósł w tym regionie aż 7,5%. Kilkaset instytucji bankowych upadło. Obecnie w stanach północno-wschodnich wskaźnik ten osiągnął prawie 6% i banki ulegają dziesiątkowaniu. Dzieje się tak, ponieważ margines zysku banku jest bardzo wysoki. Nożyce pomiędzy kosztami własnymi kapitału (odsetki płacone depozytariuszom) a odsetkami płaconymi przez kredytobiorców są nieduże, więc jeśli co dziesiąty dolar nie przynosi zysku to pozostałe dziewięć nie są w stanie nadrobić tej straty. Przeciętna stopa zysku (*return on assets*) banków amerykańskich wynosi zaledwie pół procent. W Polsce konkurencja w bankowości jest dużo mniejsza niż w USA, więc margines zysku

banków jest na pewno dużo wyższy, ale nawet gdyby był on średnio rzecz biorąc aż dwukrotnie większy, to przy licznych bankructwach dużych firm cały nasz system bankowy zawali się niczym domek z kart.

Nikt w Polsce nie szacuje udziału pożyczek zalegających ze spłatą odsetek i rat kapitałowych, jest jednak rzeczą charakterystyczną, iż choć 10% przedsiębiorstw jest zupełnymi bankrutami to ich wierzyciele bynajmniej nie kwapią się z rozpoczęciem postępowań upadłościowych. Polskie banki dokonują przeróżnych sztuczek, by za wszelką cenę uniknąć spisywania w straty tych *nonperforming* pożyczek, ponieważ wówczas wyszłoby na jaw, że i one same są bankrutami.

W tym miejscu należy nadmienić, iż już dziś, bez rozlicznych upadłości firm państwowych, wg. najbardziej liberalnych zachodnich norm bankowych największy polski bank, Bank PKO SA, jest bankrutem. Jak podaje Sławomir Lipiński³ w Banku PKO SA brakuje ni mniej ni więcej tylko 2,7 mld. USD. Jak powszechnie wiadomo bank ów od połowy lat siedemdziesiątych był uprawniony do otwierania kont denominowanych w twardych walutach. Rodacy chętnie deponowali tam swe dolarowe oszczędności, aczkolwiek nikt nie informował depozytariuszy, co się z ich wkładami dzieje. Jak wynika z owego artykułu, jedyną formą lokowania przez Bank PKO SA tych dolarowych wkładów było udzielenie pożyczek Bankowi Handlowemu. Rzecz bez precedensu w historii bankowości, BH nie płacił Bankowi PKO SA odsetek od zaciągniętych pożyczek. Odsetki ulegały, jak się to określa, kapitalizacji, czyli były doliczane do pożyczanego kapitału. Przez owe lata, te skapitalizowane, czyli nie spłacone odsetki urosły do owej, jak na polskie warunki astronomicznej kwoty 2,7 mld. USD. Bank Handlowy, rzecz jasna nie jest w stanie spłacić ani centa Bankowi PKO SA, sam jest zadłużony na ponad 1 mld USD na Zachodzie, tak więc, faktycznie rzecz biorąc owych 2,7 mld. USD w Banku PKO SA nie ma, jest to tylko wpis w księgach, który nie ma żadnego pokrycia. Na koniec zeszłego roku wkłady na rachunkach walutowych w PKO SA wynosiły ok. 3,9 mld USD, czyli Bankowi PKO SA w praktyce brakowało ponad 2/3 aktywów w twardej walucie. Jak słyszeliśmy ostatnio, stan wkładów dolarowych w Banku PKO SA zmalał w ciągu ostatnich 6 miesięcy o prawie 700 mln USD. Wygląda na to, że mamy do czynienia z klasycznym „runem” na Bank PKO SA.

Kwestia Banku PKO SA jest integralną częścią tzw. wewnętrznego zadłużenia obliczanego na 5,5 mld USD. Kilka dni temu rząd podjął decyzję o emisji 10-cio letnich obligacji dolarowych, które mają spłacić ów dług wewnętrzny. Obligacje te mają być oprocentowane na 6-7 nmi na wtórnym rynku papierów wartościowych. Proponowane warunki są nader niekorzystne dla potencjalnych nabywców i przemysłowych odbiorców (można przypuszczać, iż kontrolowany przez państwo Bank SA będzie nimi uszczęśliwiony). W chwili obecnej oprocentowanie na 10-letnie obligacje rządu amerykańskiego wynosi 7,71%. Biorąc pod uwagę wyższe ryzyko finansowe związane z polskimi obligacjami, te papiery wartościowe winny dawać przychód co najmniej 8,5-8,6%. Jeśli obrót tymi papierami wartościowymi na rynkach wtórnych będzie mieć miejsce, to ich nabywcy niezwłocznie stracą przynajmniej 17,5%, ponieważ potencjalny nabywca będzie oczekiwać przychodu konkurencyjnego w stosunku do innych instrumentów finansowych denominowanych w dolarach. Mówiąc wprost, inwestor może nabyć 10-letnie obligacje rządu USA i roczny przychód z 1.000 USD wyniesie ok. 77 USD. Zatem tylko głupiec kupiłby polskie obligacje po cenie nominalnej, ponieważ dochód z tego samego 1.000 USD wyniesie tylko 60 do 70 USD rocznie. Z tego względu sprzedający polskie obligacje na rynku wtórnym będzie musiał obniżyć ceny do poziomu, który zagwarantuje przychód dający owe minimum 8,5-8,6%, czyli do 705 - 825 USD (w zależności od tego jaki ostatecznie będą przynosić przychód). Inwestując 825 USD (zamiast 1.000) i uzyskując roczny przychód rzędu np. 70 USD inwestor uzyska dochód w wysokości 8,5%. Jeśli obligacje te nęda oprocentowane tylko na 6%, to spadek ten będzie musiał być jeszcze większy, bo do ok. 705 USD (inwestując 705 dolarów i uzyskując przychód 60 USD rocznie uzyskujemy dochód w wysokości 8,5%).⁴

Jednak jest rzeczą wątpliwą, by to łatanie dziur w polskim systemie bankowym przy pomocy tak nędznie oprocentowanych obligacji było rozwiązaniem skutecznym na długą metę. Wynika to z ogólnego obciążenia rządu polskiego długiem denominowanym w twardych walutach.

Jak każdy mógł przeczytać w gazetach, rząd polski odniósł kolosalny sukces osiągając redukcję naszego zadłużenia o 50%. Niestety, jak i w innych przypadkach, dokładniejsza analiza zupełnie zmienia ten optymistyczny obraz. Oto nasze zadłużenie nie ulega zmniejszeniu o 50%, o 50% ulega zmniejszeniu jego *present value*⁵

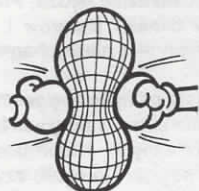
Cóż to jest owo *present value*? Sprawę tę najłatwiej wytłumaczyć przy pomocy bardzo prostego *quiz'u*. Zadajmy komuś pytanie, czy woli dostać tysiąc dolarów dziś, czy za rok? Wiele osób nie daje jasnej odpowiedzi na to pytanie, natomiast dla ekonomisty, a dla człowieka interesów w szczególności istnieje tylko jedna odpowiedź - DZIŚ! Albowiem, nawet jeśli te pieniądze będą mi potrzebne dopiero za rok, to mogę je wsadzić do Banku i po roku będę mieć owe tysiąc dolarów plus odsetki. Natomiast dokładnie odwrotny proces trzeba zastosować w stosunku do pieniędzy które mam otrzymać za rok. Dzisiejsza wartość, czyli *present value* owego tysiąca dolarów, które mam otrzymać za rok musi zostać pomniejszona o odsetki, które bym uzyskał, gdybym ową sumę dostał już dziś. Ów proces pomniejszenia wartości jest zwany dyskontowaniem (*discounting*). Czyli, np. jeżeli stopa procentowa wynosi 10%, to dzisiejsza (dyskontowana) wartość tysiąca dolarów które mam uzyskać za rok wynosi 900 USD. Ogólnie rzecz biorąc, im później mam uzyskać jakąś należność, tym mniejsza jej wartość dyskontowana. Do obliczenia *present value* służą specjalne tablice, i tak np. z tablic tych można wyczytać, że wartość dyskontowana 1 dolara, który mam uzyskać za trzy lata, przy stopie procentowej 8% wynosi 79 centy, dolara należnego mi za 8 lat, przy stopie procentowej 9% - 50 centów, itd. Ponieważ spora część polskiego zadłużenia, szczególnie rat kapitałowych, ma być spłacona wierzycielom dopiero za wiele lat, więc wartość dyskontowana tego zadłużenia jest stosunkowo mała, natomiast wartość dyskontowana odsetek jakie mamy zapłacić w najbliższych latach oraz zaległych odsetek jest relatywnie duża, stąd też redukcja *present value* naszego zadłużenia o 50% polegać będzie tylko i wyłącznie na tym, że przez najbliższe pięć lat będziemy płacić tylko 20% procent należnych odsetek. Natomiast żadnej, podkreślam żadnej, redukcji nie ulega wartość kapitału jaki mamy zwrócić. Tak jak dziś jesteśmy winni (włącznie z kredytem handlowym) niemal 50 mld USD, tak będziemy winni niemal 50 mld USD i za lat pięć. Więc za pięć lat zaczniemy ponownie płacić pełne odsetki od owych 50 mld

USD. Nie muszę się chyba zbytnio rozwodzić nad tym, że ta umowa redukująca nasze zadłużenie jest typowym przykładem polityki „po nas choćby potop”.

Nie ma się co łudzić, że w ciągu najbliższych pięciu lat w polskiej gospodarce nastąpią zmiany umożliwiające nam spłacenie 100% odsetek od wspomnianej powyżej

kwoty (o ratach kapitałowych i zadłużeniu wewnętrznym już nie wspominę). Nawet owe 20% należnych odsetek, które będziemy spłacać w najbliższych pięciu latach będzie szalonym obciążeniem dla naszej gospodarki. W zeszłym roku zanotowaliśmy nadwyżkę w handlu zagranicznym, w bieżącym roku mamy deficyt i wg wszelkiego prawdopodobieństwa nie osiągniemy nadwyżki umożliwiającej nam spłatę nawet tych zredukowanych odsetek bez uszczuplenia oficjalnych rezerw walutowych.

Fakt, że Polska w bieżącym roku natuje deficyt w bilansie handlowym jest bezpośrednim skutkiem bezsensownej polityki utrzymania stałego kursu walutowego. Inflacja w Polsce co najmniej kilkunastokrotnie przewyższa tempo wzrostu cen w krajach zachodnich. Zatem koszty produkcji rosną w Polsce dużo szybciej niż u naszych partnerów gospodarczych. W związku z tym, polski eksporter musi albo podnosić ceny towarów sprzedawanych za granicę, albo za tę samą ilość dolarów, marek, lub franków uzyskiwać większą ilość złotych, która pozwoliłaby mu płacić wyższe płace, ceny za składniki produkcji itd. Jeśli kurs wymienny jest stały, czyli za dolara, markę, lub franka polski producent otrzymuje ciągle tę samą ilość złotych, to jedyna forma kompensacji wzrostu kosztów produkcji jest podwyżka cen na rynkach zachodnich. Taka możliwość jest raczej tylko hipotetyczna, ponieważ zachodni konsumenci znaczną kupować produkty innych wytwórców, tych którzy nie podnoszą cen. Zatem, przy stałym kursie walutowym i dużo wyższej stopie inflacji w Polsce, polscy producenci po prostu tracą



rynki zbytu. Jedynym sensownym wyjściem z tej sytuacji jest dewaluacja złotego. Wówczas, za tą samą ilość twardych walut polski producent otrzymuje więcej złotych, czyli bez podnoszenia cen swych wyrobów na rynkach zagranicznych może płacić wyższe ceny za składniki produkcji i wyższe płace. Dewaluacja jest po prostu uznaniem, że siła nabywcza polskiej waluty maleje szybciej niż siła nabywcza tych partnerów handlowych, których stopa inflacji jest mniejsza niż nasza.

Natomiast sternicy polskiej gospodarki, wbrew elementarnej wiedzy ekonomicznej i wbrew zdrowemu rozsądkowi, utrzymują stały kurs wymienny złotego w stosunku do walut zachodnich. Jest to polityka zupełnie samobójcza, bo jak wspominałem wyżej, zmusza rodzimych producentów do podnoszenia cen swych towarów na rynkach zagranicznych, czyli powoduje utratę klientów. Natomiast w dokładnie odwrotnej sytuacji stawia w oczach producentów sprzedających swe towary na polskim rynku. Wraz ze wzrostem cen towarów krajowych, zachodni producenci mogą bez obaw o utratę klientów podnosić ceny swych wyrobów sprzedawanych nad Wisłą. Jeśli podniosą oni ceny swych wyrobów, a kurs wymienny jest stały, to tym samym zachodni wytwórcy uzyskają więcej dolarów, marek, lub franków, za dokładnie ten sam produkt. Skutkiem wyższej inflacji połączonej ze stałym kursem wymiennym rentowność eksportu do Polski wzrośnie. Zatem dla polskich wytwórców stały kurs wymienny stanowi antybodziec eksportowy, natomiast stały paritet złotego stanowi ogromny proeksportowy bodziec dla producentów obcych. Jest rzeczą znaną, że w ostatnich miesiącach najwyższą dynamikę importu zanotowano w sferze towarów konsumpcyjnych. Znacząco to, iż bardziej opłaca się przywozić towary z zagranicy niż produkować je w kraju. Jest to bezpośredni efekt utrzymywania stałego kursu wymiennego polskiej waluty.

Ponad trzydzieści lat temu „Włochy były tanie”, dwadzieścia lat temu „Hiszpania była tania”, dziś „Portugalia jest tania”. Obecnie Włochy i Hiszpania to bogate kraje, jutro Portugalia też będzie bogata, ponieważ nie ma innego sposobu na zdobycie rynków zbytu, przeciągnięcie inwestycji i turystów niż niskie ceny towarów i usług oraz niskie płace. Natomiast „Polska jest droga”, każdy kto przyjedzie z USA do Polski musi zauważyć, iż ceny towarów i usług w obu krajach są zbliżone. Innymi słowy, obcokrajowcy nie mają bodźców do tego, by do Polski przyjeżdżać, lub nabywać nasze towary. Jednocześnie średnie płace w Polsce są na poziomie 170 USD na miesiąc. Niskie płace, by nie powiedzieć nędza, Polaków nie mają zupełnie odzwierciedlenia w cenach towarów i usług mierzonych w dolarach, ponieważ złotych jest niesłychanie nadwartościowany.

Podręczniki ekonomii szeroko omawiają politykę *beggar the neighbor*, czyli politykę sztucznego zaniżania kursu waluty właśnie po to by zwiększyć eksport do kraków ościennych. Natomiast prof. Balcerowicz jest prekursorem polityki *beggar yourself*, czyli doprowadzania siebie samego do ubóstwa poprzez zawyżanie kursu walutowego.

Do tej pory w dziejach gospodarczych mieliśmy do czynienia z dwoma modelami rozwoju ekonomicznego: rozwoju opartego o konsumpcję wewnętrzną, lub rozwoju opartego o ekspansję na rynki zagraniczne z utrzymywaniem stopy wzrostu konsumpcji wewnętrznej na stosunkowo niskim poziomie. Najlepszym przykładem tego pierwszego wzorca są Stany Zjednoczone. Rynek wewnętrzny USA jest tak wielki, iż mogą na nim operować ogromne koncerny i rynki zagraniczne nie są im konieczne do egzystencji. Drugi model świeci tryumfy na Dalekim Wschodzie, gdzie rynki wewnętrzne są nie tylko mniejsze, ale i, poza Japonią, dość płytkie (społeczeństwa nie mają na tyle pieniędzy by wchłonić większe ilości towarów). Natomiast stosowana w Polsce „metoda Balcerowicza”, jest kompletnym zaprzeczeniem obu sposobów. Z jednej strony, polityka stałego kursu walutowego gwarantuje spadek konkurencyjności polskich produktów na rynkach zachodnich, czyli obniżenia się produkcji na eksport, z drugiej strony, polityka obniżania stopy życiowej społeczeństwa poprzez utrzymywanie płac na szalenie niskim poziomie, gwarantuje spadek produkcji na potrzeby krajowe. Mówiąc krótko, obecna polityka nie może mieć innego skutku niż nader głęboki kryzys, ponieważ popyt na niskie towary maleje zarówno na rynku wewnętrznym jak i rynkach zewnętrznych. Logika programu Balcerowicza nieuchronnie prowadzi do katastrofy. Albo rynki zewnętrzne, albo rynek wewnętrzny muszą

być zdolne do wchłonięcia zwiększonej produkcji, *tertium non datur*.

W ramach teorii praktyki ekonomii nie ma żadnego racjonalnego wytłumaczenia dla omawianej powyżej samobójczej polityki. Pozostaje tylko jedno wytłumaczenie dla omawianej powyżej samobójczej polityki. Pozostaje tylko jedno wytłumaczenie, jest to czyste szaleństwo. Nie jest to określenie ani nowe, ani moje, lecz cytowane już uprzednio stwierdzenie Barry Sullivan'a, prezesa First National Bank of Chicago, wypowiedziane po zapoznaniu się z planem reformy gospodarczej prof. Balcerowicza⁶.

Oczywiście to szaleństwo ma rozliczne skutki. Kilka omawiałem powyżej, w dalszych rozważaniach zajmę się tylko jednym, ponieważ skupia on jak w soczewce wszystkie inne problemy - deficyt budżetu państwa. Rok 1991 zamknął się nadwyżką w budżecie, osiągnięcie spore, biorąc pod uwagę, że rok poprzedni zaznaczył się bardzo poważnym deficytem budżetowym. Jednak ów sukces z 1991 roku musiał być przejściowy, ponieważ na długą metę logika programu Balcerowicza wykluczała inny rozwój sytuacji. Nadwyżką w budżecie w 1991 r. została osiągnięta dzięki ogromnemu ciężarowi podatkowemu nałożonemu na całą gospodarkę, w szczególności na sektor państwowy. (Sektor ów był jest i jeszcze długo będzie sektorem dominującym w naszej gospodarce. Jego eliminacja, co obecna polityka gospodarcza ma zdaje się na celu, nie może mieć innego skutku jak cofnięcie się w rozwoju cywilizacyjnym w skali nie spotykanej w pokojowych dziejach ludzkości). Zamknięcie zagranicznych rynków zbytu poprzez wprowadzenie stałego kursu walutowego, pauperyzacja społeczeństwa i kurczenie się rynku krajowego, musiały doprowadzić do radykalnego spadku rentowności przedsiębiorstw, a co za tym idzie i do spadku dochodów państwa. W chwili obecnej podatki w Polsce są tak wysokie, że ich zwiększenie jest praktycznie niemożliwe. Dlatego spadek rentowności przedsiębiorstw musi niezwłocznie negatywnie odbić się na poziomie dochodów państwa. Stąd też, w pierwszym półroczu przychody państwa były 25% poniżej oczekiwań. W sierpniu podjęto, jak zwykle b. spóźnioną, próbę rewizji budżetu Wg. najnowszych prognoz wydatki państwa ulegną obniżeniu o 14%, a deficyt wyniesie 11% tych obniżonych wydatków. Są to cięcia bardzo poważne.

Teoria i praktyka ekonomii jednoznacznie głosi, że poziom dochodu narodowego jest, między innymi, determinowany przez poziom wydatków państwa. Prace J.M.Keynes'a jednoznacznie wykazały, że państwo poprzez zwiększenie wydatków może wyciągnąć gospodarkę z kryzysu. Można długo debatować nad słusznością zastosowania teorii Keynes'a do przewidywania cykli rozwojowych, jednak najzawziętszy krytyk tego brytyjskiego ekonomisty musi przyznać, że obniżenie wydatków rządowych, bez innych bodźców stymulujących rozwój gospodarczy musi doprowadzić do pogłębienia kryzysu. Jak nadmieniał uprzednio, ani sektor produkujący na eksport, ani tym bardziej gałęzi produkujące na rynek wewnętrzny nie mają możliwości rozwoju wobec bieżącej polityki ekonomicznej rządu Bieleckiego - Balcerowicza. Teraz dojdzie do tego cios ostateczny, spadek zamówień rządowych. Ponieważ korekta ta podejmowana jest w trakcie bieżącego roku budżetowego, nieproporcjonalnie duże cięcia w wydatkach dopiero nastąpią, tak więc ów spadek zamówień rządowych w ostatnich miesiącach tego roku będzie wyższy niż owe 14%. Autor niniejszych rozważań nie podejmuje się oszacowań potencjalnych skutków tej operacji, ale społeczeństwo wkrótce odczuje je na swojej skórze. Deficyt budżetowy oraz wynikające stąd skutki w postaci cięć w wydatkach mogą być tą, już nie kroplą, ale wiadrem które wypełni ten gromadzący się zbiornik goryczy.

Widmo kompletnego krachu ekonomicznego już zagląda w oczy „naszej władzy” Podkreślę, krach ten jest absolutnie nieuchronnym skutkiem programu Balcerowicza. Dla niżej podpisanego jedyną tajemnicą jest to, dlaczego tę obłądną politykę gospodarczą tak długo wcielano w życie, mimo że już rok temu było oczywiste jej całkowite *fiasco* i zaiste czas najwyższy „otwarcie powiedzieć” społeczeństwu, iż w ramach programu Balcerowicza „nie ma szans na szybkie przełamanie recesji”.

Obecna władza będąca przecież nie tylko spadkobierczynią, ale i kontynuatorką systemu komunistycznego, stojąc w obliczu kompletnej klęski reaguje w sposób bardzo podobny do ustroju minionego - rządu dla siebie specjalnych uprawnień. Specjalne uprawnienia dla rządu to *de facto* przyznanie się do zupełnej klęski,

ponieważ sytuacja polityczna bynajmniej nie wymaga takich posunięć. Wprost przeciwnie, można powiedzieć, że społeczeństwo wykazało niewyczerpane zapasy cierpliwości, lub, jak kto woli, kompletna apatia i obojętność wobec dokonywanych na nim obłądnych eksperymentów ekonomicznych.

Kazimierz DADAK

¹ „Kontakt” nr 9/10, 1990.

² „Rocznik Statystyczny 1986”, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa, 1987

³ Duży kłopot - małe pieniądze, „Gazeta Bankowa”, 14.07 - 20.07.1991.

⁴ Tu wypada nadmienić, iż owe 8.5 - 8.6% to jest absolutne minimum minimum jakie rząd polski winien zaoferować nabywcom tych obligacji. Ostatnio bankierzy amerykańscy nie wyrazili ochoty wzięcia udziału w konsorcjum finansującym zakup zboża amerykańskiego przez Sowiety, mimo iż efektywne oprocento-

wanie części pożyczki nie gwarantowanej przez rząd USA wynosiło 20%. Przypomnę, że zadłużenie sowieckie jest relatywnie mniejsze od naszego, zaś zdolność płatnicza większa. Stąd też, można żywić poważne obawy, iż obligacje te nie będą warte papieru na którym mają być wydrukowane. Dlatego sytuacja Banku PKO SA i wszelkich innych instytucji obdarzonych nimi nie ulegnie praktycznie żadnej zmianie.

⁵ Terminu tego użył Steven Greenhouse w artykule *Poland is granted lagre cut in debt; West's governments to forgo half of what is due them*, „New York Times” z dnia 16.03.1991 r. Zupełnie nie dziwi fakt, że dziennikarze nie zrozumieli znaczenia tego terminu, bo który żurnalista wie co to jest jakieś *present value*, zaskakujące natomiast że prof. Zbigniew Fallenbuhl nie podjął jego wagi. Stąd też uwagi tego ostatniego autora opublikowane w majowym numerze „Kultury” paryskiej stanowią zupełną dezinformację w sprawie polskiego zadłużenia.

⁶ „The Wall Street Journal”, 4.12.89.



DWIE REWOLUCJE

Hannah Arendt /1906-75/ jest czołową przedstawicielką zachodniej filozofii politycznej. Urodziła się w Hanowerze, lecz dzieciństwo spędziła w Królewcu. W latach dwudziestych studiowała filozofię w Marburgu i Heidelbergu pod kierunkiem K.Jaspersa i M.Heideggera. Z powodu prześladowań hitlerowskich w 1933 r. opuściła Niemcy i zamieszkała we Francji. W 1940 r. przeniosła się do Stanów Zjednoczonych. Po kilkunastu latach przyjęła obywatelstwo tego kraju. W latach

pięćdziesiątych rozpoczęła karierę akademicką wykładając między innymi w Berkeley, Princeton i Chicago. Zmarła w Nowym Jorku 4 XII 1975 roku.

Myśl polityczna Hannah Arendt w Polsce jest dość dobrze znana. W „drugim obiegu” wyszła jej chyba najważniejsza książka - „Korzenie totalitaryzmu” oraz szkic o wolności z tomu esejów pt. „Between Past and Future”. Natomiast legalnie ukazały się następujące prace pisarki: „Eichmann w Jerozolimie”, „Myślenie” oraz „O rewolucji”. Liczne jej artykuły były publikowane w miesięczniku „Znak” i w „Literaturze na świecie”, która poświęciła Arendt specjalny numer.

MODELE REWOLUCJI

Książka „O rewolucji” jest porównaniem dwóch XVIII - wiecznych rewolucji - francuskiej i amerykańskiej. Arendt zastanawia się w niej, dlaczego rewolucji w Nowym Świecie udało się położyć podwaliny pod ustrój wolności, gdy natomiast rewolucja francuska zakończyła się dyktaturą jacobini i panowaniem terroru.

Zdaniem H. Arendt celem rewolucji w Nowym Świecie było tylko przywrócenie wolności. W tym kontekście przytacza ona słynne zdanie A. de Tocqueville'a - „Kto szuka w wolności czegoś innego niż ona sama, jest stworzony na niewolnika”. Władza w Ameryce pochodziła od dołu. Wywodziła się z zgromadzeń okręgowych, stanowych, a później federalnych. Ustanowienie Konstytucji Stanów Zjednoczonych było poprzedzone uchwaleniem trzynastu konstytucji stanowych. Było to - zdaniem Arendt - konsekwencją poprzedniego ustroju, który rewolucja obaliła - ustroju monarchii konstytucyjnej oraz nieobecnością kwestii socjalnej w dziejach rewolucji. Niechęć Ojców Założycieli do teoretycznych spekulacji spowodowała, że Rewolucja Amerykańska jest prawie nieobecna w tradycji rewolucyjnej, mimo że jako jedna z nielicznych zakończyła się sukcesem - ustanowieniem wolności a nie dyktaturą.

Zupełnie inaczej było we Francji. Tam kwestia socjalna wystąpiła od razu z całą ostrością. Próba usunięcia czy wyrównania nierówności ekonomicznych doprowadziła do zastosowania przemocy, która przeobraziła się we wszechładnie panujący terror usprawiedliwiający tylko dyktaturę. Połączenie się nierówności ekonomicznych i politycznych w konsekwencji przyczyniło się do powstania drastyczniejszych niż w kontynencie amerykańskim

nierówności społecznych. Nierówności, których rozwiązania szukano w stosowaniu przemocy.

WŁADZA W REWOLUCJI

W obu rewolucjach z różnym natężeniem pojawił się dostrzeżony przez H. Arendt fenomen - oddolna władza komitetów rewolucyjnych. To zjawisko jest obecne w każdej rewolucji - podczas Komuny Paryskiej w 1870 roku, w czasie rewolucji rosyjskich w 1905 i 1917 roku, w Niemczech w latach 1918-19 i w czasie trwania rewolucji węgierskiej w 1956 roku. Rady lub komitety obywatelskie pojawiały się spontanicznie i oddolnie z inicjatywy ludzi, którzy pragnęli zawiadywać sprawami publicznymi. I jeżeli nic nie zakłóca ich rozwoju rady powstają na wszystkich poziomach organizacji życia społecznego - od szczebla lokalnego do centralnego. Uczestnictwo i podejmowanie decyzji w radach przebiega na wskroś podziałów partyjnych i ideologicznych. Selekcja, właściwie autoselekcja elit dokonuje się w radach i komitetach różnych poziomów. Źródłem autorytetu społecznego nie są powszechne wybory parlamentarne czy władza państwowa. Autorytet ten pojawia się na każdym z poziomów piramidy rad, bowiem na każdym poziomie członkowie rad współdziałają z równymi sobie. Ustrój rad mógłby - zdaniem Arendt - rozwiązać odwieczny dylemat polityki - jak pogodzić wolność i autorytet.

Nic więc dziwnego, że rady są przeciwnikiem każdej partii - tych rewolucyjnych także. Organizacja partyjna - zaznacza H. Arendt - jest miniaturą państwa: dominuje w niej autorytaryzm i oligarchiczna struktura, brak demokracji i dogmatyzm. Wcześniej czy później spontaniczny ruch rad zostaje zdławiony przez władzę centralną. I nie ma w tym przypadku żadnego znaczenia, czy jest to władza rewolucyjna czy kontrewolucyjna.

UTRACONA SZANSA

Według H. Arendt wolność człowieka przejawia się w działaniu, jej dziedziną jest sfera publiczna życia społecznego. Klasyczna forma wolności panowała w greckiej *polis* gdzie równi sobie obywatele greccy rozwiązywali sprawy publiczne. Jednakże późniejsza tradycja filozoficzna przeniosła pojęcie wolności ze sfery publicznej do prywatnej. Wolność nie stała się domeną polityki lecz wnętrza człowieka. Zerwanie z tradycją *polis* jest szczególnie tragiczne we współczesnym świecie, gdzie wykorzenienie i wyobcowanie człowieka masowego ze świata stworzyło pożywkę do rozwoju totalitaryzmu. W takim kontekście jedyną szansą na powrót do tradycji greckiej *polis* może być rewolucja. W trakcie jej trwania dochodzi spontanicznie do restytucji sfery publicznej i ponownego powstania demokracji uczestniczącej. Jednakże, jak się dowiadujemy z dzieła H. Arendt nie każda rewolucja może przywrócić pierwotnie utraconą wolność greckiej *polis*. Może to uczynić tylko taka rewolucja, która stawia sobie za cel odzyskanie wolności. I nic więcej.

Krzysztof BRYCCIUS

Hannah Arendt, *O rewolucji*. Wydawnictwo X. Kraków 1991.

W sowieckiej szkole

- Iwanow, kim był Stalin?
- Potworem, proszę pani.
- Siadaj, piątka. Sidorow, kim był Czernienko?
- Głupcem, proszę pani.
- Siadaj, piątka. Kukuszkin, kim jest Gorbaczow?
- Kontynuatorem wielkich.



trudno stworzyć alternatywę...

Swego czasu w dyskusji prasowej z redaktorem jednego z antypostkomunistycznych pism wyraziłem opinię, że w dzisiejszej Polsce różnego rodzaju nieformalne „zapisy” działają skuteczniej niż urzędowe „czarne listy” w PRL. W komunistycznych czasach autor źle widziany przez władze mógł publikować w „drugim obiegu”; teraz zaś dla nowego, postkomunistycznego porządku trudno stworzyć alternatywę. Czyli jeżeli ktoś narazi się nowym elitom, jego szanse na udział w życiu publicznym będą mniejsze niż prominentów dysydencji w latach PRL, którzy nawet z aresztów pisywali artykuły do „Spiegla” i wydawali książki w emigracyjnych wydawnictwach.

To, co dzieje się w Polsce, trudno obserwować bez uczucia niesmaku. Nie wykluczam, że moje wrażenia są subiektywne, ale mam ku temu konkretne powody. Jakoś tak się składa, że po runięciu komunizmu po raz pierwszy znalazłem się w sytuacji, kiedy organy prasowe w Polsce, niemal bez wyjątku, są dla mnie zamknięte, nawet wówczas, gdy starałem się bronić przed zwykłymi pomówieniami, ogłoszonymi uprzednio właśnie w prasie. Zatem upadek komunizmu jakoś nie wyszedł na dobre. Tymczasem Jerzy Urban ma się teraz nawet lepiej niż w latach PRL. Nie porównuję swego znaczenia do historycznej wsiak roli Urbana (jako rzecznik rządu stworzył jeden z kanałów „głosności”), rzecz jednak w tym, że w latach PRL Urban był komunistą, ja zaś antykomunistą, więc obecna sytuacja wydaje się pozbawiona logiki (podkreślam, że chodzi o czasy minione, kiedy wspomniane rozróżnienia rzeczywistości coś znaczyły; dziś, jak wiadomo, wszyscy mówią, że są antykomunistami). O ile wiem, jedyne kłopoty publicystyczne Urbana wynikały z zamieszczenia w jego organie nie osłoniętego niewieściego łona. Tymczasem mnie nie udało się zamieścić w wydawanym przez Ministerstwo Edukacji Narodowej Magazynie Historycznym „Mówią Wieki” nawet listu, spowodowanego faktem, że pismo to wydrukowało tłumaczenie mego autorstwa (tym razem bez mojej wiedzy i zgody), usuwając wszelako moje nazwisko. List załączam, z prośbą o ogłoszenie, zaś tytułem komentarza - jeszcze jedno wspomnienie z minionego okresu:

Swego czasu odkryłem w „Kierunkach” z 7 listopada 1982 r. tekst Wiesława Budzyńskiego „Strefa nocy”, który w ok. 50% składał się z przepisania, w większości dosłownie, mego artykułu „W strefie śmierci”, zamieszczonego w 6 nr „Kultury” z 1982 roku. Wówczas nie zareagowałem, bowiem nawet tę kradzież własności intelektualnej trzeba było widzieć w kontekście ówczesnej sytuacji w Polsce; niegodne byłoby zwracać się do prasy koncesjonowanej przez władzę w dojrzałej fazie „stanu wojennego”. Budzyński (zapewne odnosi dalsze sukcesy dziennikarskie...) działał w poczuciu bezkarności, ale wszak cały stan wojenny, ba, cały komunizm opierał się na bezprawiu. Ciekaw jestem, na czym w takim razie w przekonaniu redakcji „Mówią Wieki” jej sponsorów opierać ma się ustrój III Rzeczypospolitej.

XI. 91

Tomasz MIANOWICZ

Monachium dn. 8.03.1991r.

Sz.P.

Stefan Meller

Redaktor Naczelny Magazynu Historycznego „Mówią Wieki”
ul. Spasowskiego 4, 00 - 389 Warszawa
Polska

Szanowny Panie,

Przeglądając swego czasu jeden z numerów „Polityki”, który przypadkowo wpadł mi w ręce, natrafiłem na notę zatytuowaną „W nowej skórce”. Tekst informuje o objęciu przez Pana redakcji „Mówią Wieki”, a ponadto wymienia kilka artykułów zamieszczonych w pierwszym - po zmianie redaktora naczelnego - numerze pisma; wśród nich „List Borysa Sawinkowa do Marszałka Piłsudskiego”. Rozpocząłem poszukiwania tego numeru, co nie było rzeczą łatwą, zważywszy iż „Mówią Wieki” dostępne jest zaledwie w jednej bibliotece na terenie Niemiec. Udało mi się w końcu otrzymać kopię tekstu zamieszczonego w nr 7'90 Pańskiego pisma w dziale „Dokumenty i relacje”; chodzi o wspomniany list Sawinkowa poprzedzony artykułem Michała Hellera.

„Mówią Wieki” opublikowało wprawdzie „przypisy tłumacza”, jego nazwisko zostało jednak pominięte. Jestem tłumaczem zarówno szkicu Michała Hellera, jak i listu Borysa Sawinkowa; oba teksty udostępniłem czytelnikowi polskiemu już wcześniej, publikując je opatrzone własnym komentarzem - w nr 14 (XI 1987) „Orientacji na Prawo”.

Usunięcie w „Mówią Wieki” mego nazwiska to nie jedyny powód do zdumienia. O fakcie publikacji w Pańskim piśmie listu B. Sawinkowa i artykułu M. Hellera ten ostatni dowiedział się ode mnie. To samo dotyczy redaktorów książki, z której teksty zaczerpnięto - Ireny Lasoty i Jakuba Karpińskiego; „Sowietskij Sojuz” (Institute for Democracy in Eastern Europe, New York, 1988) - bo o tę pozycję tu chodzi - zawiera notę następującej treści: „Przedrukowywanie w wydawnictwach niezależnych w Polsce całości książki i poszczególnych artykułów lub ich fragmentów jest dozwolone z podaniem źródła”. Nie sądzę, aby - pomimo zmian politycznych w Polsce - formułę tę można było zastosować do pisma wydawanego przez Ministerstwo Edukacji Narodowej, nie zasięgnąwszy uprzednio opinii wydawcy i bez wyjaśnienia kwestii praw autorskich.

Przedruk w „Mówią Wieki” zawiera ponadto błędy i zmiany: na str. 29 w. 2. szpalcie winno być „Birkenheadowi” (a nie „Berkenheadowi”); „pożyczka” (a nie „pożyczki”); „śmienowichowcy” (a nie „śmienowichowcy”); na str. 30. w 1. szpalcie „wywiadowi sowieckiemu” (a nie „wywiadowi radzieckiemu”).

Na pierwszy raz mam powody, by przypuszczać, że w postkomunistycznej Polsce w dziedzinie znajomości praw autorskich i elementarnych zasad etyki wydawniczej istnieją spore braki. Czyż nie sądzi Pan, że właśnie pismo Ministerstwa Edukacji Narodowej mogłoby przyczynić się do zmniejszenia tego deficytu?

Mam nadzieję, że zechce Pan zamieścić mój list w najbliższym numerze.

Łączę wyrazy poważania
Tomasz Mianowicz



Numer zamknięto 08.01.1992 r. Wydawca: Wydawnictwo „WiS”. Redaguje zespół: Krzysztof Brzechczyn, Maciej Frankiewicz, Romuald Lazarowicz, Zbigniew Rutkowski (red. prowadzący). Adres redakcji: 61-120 Poznań 22, skr. poczt. 59. Stałe punkty kolportażu: Poznań - Klub „WiS” ul. Górna Wilda 106, pon-piąt. w godz. 10 - 18, tel. 33-00-91; Wrocław - Biuro Partii Wolności ul. Kotłarska 41 III p., tel. 38-236; Łódź - Klub „WiS”, ul. Próchnika 1, I p. pon - środa 17-18.30. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i zmiany tytułów w nadsyłanych materiałach. Tekstów nie zamówionych nie zwracamy.

Prenumerata: półroczna (gwarantuje otrzymanie 6 kolejnych n-rów od daty wpłaty) - cena 25.000 zł, roczna (12 n-rów) - 45.000 zł. Prenumerata zagraniczna roczna: zwykła 12\$, lotnicza 25\$; Przekazy pocztowe (z dokładnym adresem prenumeratora i ilością zamawianych egz.) prosimy kierować na adres wydawcy: Wydawnictwo „WiS”, 61-655 Poznań ul. Gromadzka 23.